Cena 10 zł
(wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego).

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 8 grudnia 1946 r. | Nr 43 (54)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
02015

Zdzisław Hierowski

Poza biurokracją i planowaniem

Jedną z zasadniczych cech naszego życia kulturalnego po wojnie jest jego biurokratyzacja uhierarhizowana i sztywna. Ciągnie się ona od Ministerstwa Kultury i Sztuki poprzez jego odpowiedniki wojewódzkie do jego ogniw powiatowych i miejskich, ale na nich bynajmniej się nie kończy. Procesem biurokratyzacji objęte zostały również domy kultury i świetlice. Nie chodzi tylko o to, że zwłaszcza te ostatnie uzależnione są od urzędów informacji i propagandy, lecz także i to, że bez względu na to, od kogo tego rodzaju placówki i instytucje są zawisłe, ich aparat kierowniczo inicjujący wraz z wykonawczym został oddany w ręce ludzi traktujących je urzędowo i wciskających je w biurokratyczne schematy a przy tym najczęściej do tego rodzaju pracy nie wystarczająco przygotowanych. Czynnik społeczny, reprezentowany choćby przez branżowe związki zawodowe, przez związki artystyczne czy Związek Samopomocy Chłopskiej nie potrafił na tym odcinku przejąć inicjatywy w swoje ręce już to z braku zainteresowania tymi sprawami, już to na skutek krzyżowania się jego poczynań z poczynaniami urzędowymi, czego typowym przykładem może być dwutorowość akcji kulturalnej wśród górników i hutników, prowadzonej równocześnie przez odpowiednie organy właściwych zjednoczeń i przez właściwe związki zawodowe. W ten sposób główne elementy pracy społeczno - kulturalnej przeszły w ręce czynnika tak czy inaczej urzędowego, powiedzmy wyraźniej, urzędniczego, zostały wtłoczone w pewne mocno jeszcze niedoskonałe i mocno ubogie szablony biurokratyczne zarządzeń, instytucji, wytycznych i inspiracyj zrodzonych i wykombinowanych przy biurkach różnych władz i placówek. Państwo i jego organa wykonawcze na niższych szczeblach wzięło w swe ręce niemal całkowicie niezmierny trud inicjowania i realizowania długofalowej, obliczonej na najszerszy zasięg w głąb i w szerz akcji kulturalnej, akcji zmierzającej do upowszechnienia zdobyczy kultury narodowej i podniesienia oświaty. Czynnik społeczny, człowiek niezależny, działacz dobrowolny, podejmujący pracę kulturalną czy oświatową z własnej inicjatywy i z samodzielnego uświadomienia sobie potrzeb społeczeństwa w tym zakresie nie powinien być w kręgu tych prac pominięty zarówno jako inicjator jak i jako wykonawca swoich czy obcych planów i zamierzeń.

Niebezpieczeństwa tego stanu rzeczy są wyraźne i nie dadzą na siebie długo czekać. Całości naszych poczynań oświatowo-kulturalnych obliczonych na najszersze masy społeczne grozi zubożenie, zrutynizowanie, szablon i bezduszność, przy czym rozwój i postęp tych poczynań ulec może poważnemu zahamowaniu i opóźnieniu. Państwo bowiem wraz z całym swym w dodatku niedoskonałym i wyrabiającym się dopiero aparatem wszystkim zadaniom w tym zakresie przed nami stojącym podołać nie potrafi i nie może.

Obiektywnie przyznać trzeba, że w zjawisku tym nie tylko ingerencja państwa grać musiała rolę, ingerencja zresztą w tym pierwszym okresie odbudowy konieczna i w wielu wypadkach pożyteczna. Czynnik społeczny nie tylko tą urzędową inicjatywą został zepchnięty do szeregów biernych obserwatorów procesów i poczynań kulturalnych. Sprawiły to także powojenne nieuregulowane i nadzwyczaj trudne warunki życia ludzi pracujących, z których wielu doświadczyło przemian zupełnie w stosunku do tego, jak żyli dotychczas, rewolucyjnych i wymagających niejednokrotnie gruntownych i zasadniczych przestawień psychicznych. Ale zaczynamy powoli wracać do równowagi, coraz więcej faktów i zjawisk świadczy o normalizowaniu się stosunków w różnych dziedzinach życia. Przychodzi więc czas na aktywizowanie jednostki i grup społecznych nie tylko na odcinku pracy zawodowej, ale również i w kierunku włączenia jej w pozazawodowe nurty życia społecznego. Wciąganie jednostki w zbiorowość swego bliższego i dalszego środowiska a przez nią w zbiorowość narodu musi na odcinku kultury ulec przyśpieszeniu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bez czynnego udziału ludzi zamieszkujących Ziemie Odzyskane nie doprowadzimy do ich szybkiego i gruntownego podboju kulturalnego, nie dokonamy kulturalnego zespolenia tych ziem i człowieka, który na nich zamieszkuje od dawna czy od niedawna, z resztą kraju i z ogólnonarodowym prądem rozwoju kulturalnego. Nie podjęcie przezeń inicjatywy i możności współdziałania na tym polu uczeni go wyłącznie przedmiotem oddziaływania kulturalnego, biernym a zatem i obojętnym odbiorcą tego, co mu się oficjalnie do przyjęcia podaje. Jeśli odczuje swe istotne potrzeby i dostrzeże braki w ich zaspokajaniu, poprzestanie wyłącznie na zgłaszaniu swych pretensji i mniej więcej cierpliwym oczekiwaniu na ich wyrównanie.

Postawmy sprawę konkretnie: dlaczego Ziemie Odzyskane są tak niedostatecznie zaopatrzone w książkę polską, cierpią na taki brak czytelń i bibliotek? — dlaczego poza brakiem sił nauczycielskich szkoła polska na tych ziemiach odczuwa taki niedostatek pomocy, podręczników, przyborów szkolnych nie mówiąc już o sprawach remontu i wyposażenia budynków, o sprawach opieki nad niezamożną młodzieżą? — dlaczego prelegent, literat, muzyk, dlaczego teatr a nawet kino nie dociera wszędzie tam, gdzie docierać powinno, gdzie jest potrzebne i konieczne? — dlaczego stamtąd, z tamtych terenów i od tamtych ludzi nie płynie żadna poważniejsza inicjatywa kulturalna, dlaczego tam przejawia się tak słabo praca w tej dziedzinie, dlaczego kraj i jego normalnie już funkcjonujące ośrodki nie są w dostatecznym stopniu informowane o potrzebach i postulatach tych ziem?

Jeśli nie wyłącznie, to również i dlatego, że do pracy kulturalnej nie zostały tam jeszcze zmobilizowane w dostatecznym stopniu siły społeczne, że działacz ochotniczy i dobrowolny nie znalazł jeszcze właściwych form dla swojej inicjatywy i pracy, że nikt mu nie pomógł do ich stworzenia, jeśli zgoła mu tego nie utrudnił.

I znów pytania konkretne: dlaczego na tych terenach nie działa jeszcze mająca swe bogate tradycje i wypróbowane metody pracy sieć placówek takich organizacji społecznych oświatowo - kulturalnych jak Towarzystwo Szkoły Ludowej czy Towarzystwo Czytelni Ludowych? — dlaczego pomimo urzędowych zabiegów niszczeją dokumenty i zabytki polskiej przeszłości na tych ziemiach, zbiory i biblioteki, dlaczego dopiero przypadkowi odkrywcy odszukują przysypane kurzem wieków i obecnego zapomnienia ślady polskiej myśli i ręki tu utrwalone?

Pytania te pozostaną retorycznymi dopóki nie zrozumiemy konieczności najszybszego i najszerszego wciągnięcia czynnika społecznego w dzieło kulturalnej odbudowy odzyskanego Zachodu i dopóki nie wskażemy form, w jakich czynnik ten pracą swoją powinien organizować.

Jeśli o formy te chodzi, powinny tworzyć je dwa rodzaje organizacji społeczno-kulturalnych, reprezentujących równocześnie dwa kierunki i dwa stopnie pracy kulturalnej.

Pierwszy z tych rodzai to stowarzyszenia o typie naukowo - badawczym, coś w rodzaju niewielkich, ograniczonych do pewnego terenu, do powiatu czy miasta towarzystw przyjaciół nauk. W skład ich powinni wchodzić nauczyciele szkół średnich i powszechnych, inteligencja zawodowa, samorodni badacze pewnych zagadnień, zbieracze, miłośnicy przeszłości, zamiłowani krajoznawcy. Zadaniem tego typu stowarzyszeń byłyby zacieśnione do terenu objętego działalnością danej placówki badania historyczne i etnograficzne, badanie kultury ludowej, spisywanie pieśni, notowanie muzyki, opisy tańców ludowych, obyczajów, zwyczajów, obrzędów i wierzeń, utrwalanie tekstów gwarowych. Szczególny nacisk trzeba położyć tutaj na zbadanie dziejów polskości danego terenu, odkrycie pamiątek historycznych, ich opracowanie, należyte zabezpieczenie połączone ze stałą opieką nad nimi i troską o ich konserwację. Bez wątpienia uniknęlibyśmy wówczas roztaczania czułej pieczy nad takimi dziwolągami jak muzeum poświęcone kultowi Rübezahla w Szklarskiej Porębie, będące żywym dokumentem germańskiej mitologii i pomnikiem wyjątkowej brzydoty, otaczanym najczulszą troskliwością przez specjalnego urzędnika Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, który nosi dumną nazwę kustosza tego muzeum, któremu miałbym ochotę dodać jeden jeszcze eksponat: ładunek dynamitu. A takich kuriozów znajdziemy na Ziemiach Odzyskanych dużo, Urzędowo nazywa się to zabezpieczaniem i konserwacją zabytków. Polacy chodzą tam, oglądają to wszystko grzecznie oprowadzani przez kustoszy i czują się zakłopotani. Ponieważ tą samą drogą inicjatywy urzędowej stworzone zostało podobne „muzeum" w zamku ks. v. Pless w Pszczynie, gdzie można sobie oglądać, jak mieszkali książęta v. Anhalt, może by nasze urzędowe czynniki od kultury pomyślały jeszcze o urządzeniu mauzoleum w willi Gerhardta Hauptmanna, niedoszłej siedzibie niedoszłego poety dolnośląskiego Leopolda Staffa?

Z pracy tego rodzaju stowarzyszeń naukowo - badawczych powstanie z czasem olbrzymi materiał o bezcennej wartości dla nauki polskiej, powstanie najbardziej szcze

Perspektywa Odry

Nie wystarczy powiedzieć, że Danina Narodowa jest obowiązkiem każdego Polaka. Do ogłoszenia sprawy o Daninie Narodowej potrzebny jest komentarz.

Przeznaczona ma być Danina wyłącznie na odbudowę Ziem Odzyskanych. Ogrom pracy polskiej na terenach nadodrzańskich, choć zmienił krajobraz sprzed roku, nie potrafił go jeszcze uzdrowić całkowicie. Okoliczności wojny prowadzonej przez Niemców i okoliczności powojenne sprawiły, że Ziemie Odzyskane straciły połowę conajmniej swoich wartości gospodarczych. Zapełnienie luk, napełnienie ich gwarem maszyn i ludzi — oto dążenie Polski, osiadłej pewnie już na tych ziemiach. Danina Narodowa ma wypełnienie tego zadania przyspieszyć.

Ludzie Ziem Odzyskanych przyjęli nowinę o Daninie Narodowej z prawdziwą ulgą, bo oznacza ona równocześnie koniec dla zdarzającej się jeszcze sporadycznie akcji dewastowania wartości gospodarczych Ziem Odzyskanych. Państwo, które chce budować, przeciwstawi się ostro wszelkim próbom rozkładu.

Danina Narodowa służyć ma głównie odbudowie gospodarczego potencjonału Ziem Odzyskanych. Chcemy wyrazić nadzieję, że również i dla odbudowy kulturalnej Ziem Odzyskanych, tak zaniedbywanej dotąd znajdzie się pozycja w Daninie. Nie możemy sobie po prostu wyobrazić jednostronnie pomyślanej odbudowy Polskiego Zachodu. Postęp gospodarczy jest zresztą wynikiem postępu ogólno - kulturalnego. Wiara w człowieka musi być wiarą w pełnię jego sił i możliwości duchowych i fizycznych. Gwarancją takiej wiary jest równomierny rozwój kultury duchowej i gospodarczej.

Naród polski rozumie znaczenie i konieczność pełnej odbudowy Ziem Odzyskanych. Rozumiejąc tę sprawę najważniejszą, zrozumie także potrzebę rychłego wypełnienia obowiązku Daniny Narodowej.

Przypominamy zdanie, wyczytane niedawno w prasie niemieckiej na temat przyszłości naszych Ziem Odzyskanych: „Polska nie zagospodaruje nigdy terenów na wschód od Odry do tego stopnia, by stały się one wartościowym zakątkiem w Europie." Te kłamstwa przygwoździmy wypełnieniem obowiązku Daniny Narodowej, a później sumiennym zdaniem sprawy z jej przeznaczenia i osiągnięć.

Piotr Paweł Pilarski: Raciborska droga
(Pilarski, malarz dolnośląski, zweryfikowany obecnie jako Polak, żyje w okolicach Kłodzka)

BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO

gółowy obraz tych ziem. Praca tych stowarzyszeń wytworzy podkład pod niezwykle wartościowe zjawisko psychologiczne— pod pewien patriotyzm lokalny, wiążący człowieka silnie i trwale ze swoim terenem. Jedną z dalszych form działania będzie tu zasilanie zebranym materiałem instytucji i czasopism naukowych, takich jak „Śląsk", „Zaranie Śląskie", przyszłe Roczniki Twa Przyjaciół Nauk w Katowicach i Wrocławia i t. p. „Zaranie Śląskie" jako niegdyś organ Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie ma tutaj bogatą tradycję zamkniętą w swoich szesnastu rocznikach. Może warunki finansowe przez pewien czas nie pozwolą jeszcze, by wznowiona została piękna tradycja rocznych sprawozdań większych zakładów naukowych, gdzie na czele drukowano zawsze jedną lub dwie prace profesorów danego zakładu. Ale chyba kiedyś do niej powrócimy, bo przecież daje ona szkole najlepsze świadectwo ambicji i pracy jej nauczycieli, składa się na jeden z elementów jej historii, czyni ją czymś więcej niż zakładem kształcąco-wychowawczym. A wtedy leżące w zakresie działalności omawianych tu towarzystw prace nauczycieli znajdą tu swoje odpowiednie miejsce, jak miały je np. na łamach sprawozdań gimnazjum cieszyńskiego. Może i niejedno środowisko będzie się mogło zdobyć na własny rocznik czy druk okolicznościowy, a może przestaniemy uważać kalendarze za coś bardzo utylitarnego, w czym drukować nie warto, może pomyślimy o tym, by uczynić je właśnie zbiornicami materiału takich towarzystw i ludzi w nich pracujących, księgami mówiącymi przystępnie i prosto o przeszłości i dniu dzisiejszym. Niemcy umieli to robić. Sam zebrałem kilkadziesiąt tego rodzaju kalendarzy wydanych na Śląsku w latach 1940—1945. Miały jednolitą treść propagandową na wstępie, czego nie musimy naśladować, i jednolite kalendarium, co można dla uproszczenia pracy przyjąć, oraz bogatą treść regionalną. Każdy powiat miał taki swój „Heimatkalender", obdarzono nimi nawet takie powiaty, jak Chrzanów czy Będzin, tworząc dla nich ad hoc niemiecką, niemal pragermańską przeszłość. Takie kalendarze powinny być ambicją i dążeniem poszczególnych środowisk kulturalnych na Odzyskanych Ziemiach. Podobnie popularnie i przystępnie opracowany zebrany materiał zasilić powinien periodyki wychodzące na tych terenach, jak „Nowiny Opolskie", „Wiadomości Mazurskie" czy „Nasz Głos" lub „Szczecin". Dawna ludowa prasa śląska była i jest dzisiaj dla badaczy prawdziwą kopalnią wiadomości historycznych i materiałów etnograficznych.

Te regionalne towarzystwa przyjaciół nauk już się zaczynają tworzyć. Jest takie towarzystwo w Opolu, powstałe z inicjatywy pierwszego polskiego burmistrza tego grodu Tkocza, noszące się z zamiarem wydania pierwszego rocznika, tworzy się podobne towarzystwo w Wałbrzychu, stworzyło się ono i działa już w ziemi lubuskiej. Oznacza to, że już jednostki i pewne grupy społeczne zrozumiały ich potrzebę i znalazły w nich formę pracy kulturalnej dla środowiska, z którym są związane. Towarzystwa takie wciągną ludzi do twórczej i pożytecznej pracy kulturalnej, a w hierarchii organizacji tego typu zajmą miejsce przodujące jako ośrodki pracy zdobywczej, tworzącej i gruntującej kulturę polską na nowych ziemiach.

Drugi stopień w tej hierarchii powinny zająć stowarzyszenia nastawione na inny kierunek i rodzaj działania, nawiązujące do wzorów wspomnianego już Towarzystwa Szkoły Ludowej czy Towarzystwa Czytelni Ludowych. Tam była raczej praca twórcza, tutaj praca organizująca kulturę i oświatę, upowszechniająca ją. Przede wszystkim szybka i skuteczna pomoc potrzebna jest szkołom i młodzieży na Zachodzie. Powiedzmy sobie otwarcie, że państwo nadal nie zapewnia szkole tego wszystkiego, co jej do życia i normalnej pracy jest potrzebne, że zorganizowana i systematyczna pomoc społeczna jest tutaj nadal niezbędna i nie stać nas na luksus rezygnowania z niej, na luksus likwidacji takiej twierdzy oświaty, jaką było u nas zwłaszcza na terenach kresowych TSL. Jeśli mieliśmy w roku ubiegłym zapowiadający się i w roku nadchodzącym fakt zamykania wielu szkół na okres zimowy z powodu braku opału (na Śląsku!), to fakt ten jest jednym więcej przykładem konieczności społecznej pomocy szkolnictwu. Rady rodzicielskie mają zbyt wąski zasięg, a wysiłki ich idą często na doraźne zaspokajanie potrzeb, o których wstyd mówić. Remont i wyposażenie budynków szkolnych, zaopatrzenie je w pomoce naukowe, biblioteki, gabinety, opieka nad niezamożną młodzieżą, której nie tylko potrzeba przyborów szkolnych i podręczników, ale często również dożywienia, odzienia i obuwia zwłaszcza w okręgach zniszczonych przez wojnę i grabież, i zwłaszcza jeśli chodzi o młodzież śląskiego pochodzenia, której rodziny w ostatniej fazie wojny i w pierwszym okresie „repolonizacji" znanymi metodami straciły wszystko. Te stowarzyszenia miałyby ponadto inne jeszcze zadania: organizację bibliotek i czytelń publicznych, odczytów, imprez artystycznych, pomoc w pracach oświatowych dla dorosłych, akcję stypendialną dla młodzieży kształcącej się z danego terenu, pomoc i poparcie dla świetlic i domów kultury. Zresztą niewiele jest tu do tłumaczenia i wytyczania. Mamy dziesiątki tysięcy dawnych działaczy oświatowych, którym tylko trzeba dać możność pracy i formy organizacyjne, by uaktywnić ich doświadczenie i wyzwolić energię.

To wszystko, co tutaj napisałem, nękało mnie długo. Nie mogłem się zdobyć na sformułowanie tego zniechęcony powolnym tempem pracy kulturalnej na zachodzie i głuchym milczeniem na dotychczasowe apele. Ale w końcu doszedłem do przekonania, że chyba tym razem napisać warto. Bo to już nie apel do władz i do urzędowej inicjatywy. Z tymi postulatami zwracam się z zaufaniem i wiarą do pracowników kultury osiadłych na Zachodzie, do inteligencji polskiej, która poszła tam na ciężką, trudną, ale wspaniałą pracę. Długie lata pobytu na Śląsku przekonały mnie, że ludzie ci mogą wiele zdziałać, bardzo wiele. A obserwacja blisko dwuletnia pracy na tym odcinku narzuciła mi przeświadczenie, że **państwo i jego aparat nie może żadną miarą dokonać dzieła kulturalnej odbudowy Ziem Odzyskanych bez licznego i zasadniczego udziału sił społecznych.** To jest droga lepsza, na nią trzeba wkroczyć.

Stefan Sulima

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (8)

Laboratoria polskości

2. Morąg *)

Podwójne było oblicze pruskiej polskości, choć polskość była jedna i ta sama zarówno na Mazurach, jak na Warmii czy Powiślu. Z jednej strony źródła jej kryły się w pokładach ludowości i utajonym instynkcie, z drugiej znów biły żarliwym patriotyzmem najwyższej próby i rangi.

Z jednej strony wykładnikiem jej był **ruch gromadkarski,** odżegnujący się od „politycznej" polskości, ale zrywający dla polskiego języka z oficjalnym protestantyzmem, z drugiej jako wyraz polskich potrzeb duchowych **dwie wysepki szkół polskich wokół Olsztyna i na ziemi malborskiej,** utrzymywane pełnym heroizmem i samozaparcia wysiłkiem. Z jednej strony miarą uświadomienia mas ludowych stanowił **płomienny nauczyciel Jerzy Łanc,** ofiara skrytobójczego mordu, który przybył z Polski, by znaleźć jedną jedyną i to nawpół normalną uczenicę mazurską, z drugiej **prosty człowiek spod Gietrzwałdu,** biorąc za żonę wdowę z 9-giem dzieci po to, by miejscowej szkole zapewnić dostateczną ilość uczniów.

Polskość w Prusach była jedna, ale przejawy jej były różne i różne głębie, w których ginął nurt świadomości, różne formy, w jakie ścieśniła ją niemczyzna, różne natężenia i format patriotyzmu. Była to chimeryczna żywa kopalnia, której złoża w wyniku najrozmaitszych nawarstwień i przesunięć wewnętrznych układały się na wszelkich możliwych poziomach, od odkrywek po przepastne głębiny. Dla eksploracji polskości pruskiej nie było gotowych schematów. Inaczej ujawniała się w głównej masie ludowej, a inaczej w takich środowiskach jak Związek Polaków w Niemczech, który niezależnie od pewnych biurokratycznych obciążeń, skupiał olbrzymią większość świadomych i przyznających się do tego Polaków, oraz stanowił widome ogniwo łączności z Polską.

Germanizacja godziła w jeden i drugi odłam, szczególnie w młodzież, z jednakową zaciekłością i uporem, lecz i tutaj następstwa presji były różne w zależności od poziomu, na którym ujawniała się górna warstwa polskiej świadomości.

Jako szczególną zasługę pruskich uniwersytetów ludowych należy podnieść zastosowanie odpowiednio elastycznych środków oddziaływania na młodzież w zależności od środowiska, z jakiego pochodzi. Gdy patrzyłem na finezję Małłka w Rudziskach i skutki jego kąpieli regionalnych, odmywających polskość mazurskiej młodzieży spod warstwy niemieckich wpływów i porównywałem jego pracę z dynamiczną metodą Jana Boenigka w Morągu, przypominającą insolacje pełnym blaskiem polskości, a stosowaną wobec zgermanizowanych dzieci „polonusów" i „wiarusów" warmijskich, **znajdowałem wiele satysfakcji w fakcie, że przypadkowe improwizacje, tak częste na Ziemiach Odzyskanych, oszczędziły w Prusach jedną z najkapitalniejszych, a jednocześnie najtrudniejszych dziedzin naszej pracy i naszego posłannictwa. Dwaj autochtoni (Małłek jest Mazurem działdowskim, Boenigk Warmiakiem) dali klasyczną lekcję, jak w pewnych warunkach bez autochtonów o autochtonach trudno jest decydować.** Lekceważenie doświadczeń miejscowego człowieka, wbrew odmiennym opiniom napływowych cudownych lekarzy, nierzadko może grozić nieprzewidzianymi konsekwencjami, a w każdym razie nie dość wszechstronnym uwzględnieniem tuziemczych potrzeb i bolączek. Pod tym względem uniwersytety pruskie osiągają nie tylko sukcesy w pracy nad młodzieżą, ale jednocześnie oddziaływują na psychikę starszego społeczeństwa, które w nie mniejszym stopniu wymaga opieki i podniesienia na duchu.

Morąg jest klasycznym przykładem złożoności procesów repolonizacyjnych. Jeśli Rudziska przez swój regionalizm znajdują oddźwięk w silnie przywiązanym do swej odrębności ludu mazurskim, Morąg wychowując dzieci polskich działaczy, naprawia i koryguje mimowoli, fałszywe uprzedzenia. W kołach świadomej polskości na Warmii niejednokrotnie wyczuwa się jakiś utajony osad zawodu, zgotowanego po przyjściu Polski zarówno przez osławione wyczyny „pionierów" w złym tego słowa znaczeniu, jak i przez nieświadomość ludzi najlepszej często woli. Miejscowi ludzie przez lata całe znosili tysiące szykan niemieckich i mimo prześladowań z niezłomną stałością utrzymywali swą narodowość w tym przekonaniu, że wszystkie te wkłady nagrodzi kiedyś Polska, po której spodziewali się tyle, ile ich wyidealizowane wyobrażenie ojczyzny mieściło w sobie pragnień. Podobnie kiedyś Śląsk i Poznańskie wchodziły z uniesieniem w ramy polskiej państwowości, obiecując sobie po tym akcie spełnienie wszystkich marzeń i tęsknot, nie licząc się z koniecznością dopasowania do realnej rzeczywistości polskiej, uznania dla innych kryteriów myślenia i podporządkowania pewnym odmiennym racjom, niż ich własne.

Świadomi Polacy pruscy przeżyli ten **zawód z naddatkiem dalszych rozczarowań.** Wyzwolenie przyszło inaczej niż się spodziewali, jakby pomimo ich prac i poświęceń, a akt połączenia z macierzą pod wpływem wojny odbył się bez odświętnego blichtru i upojenia. Aktualna sytuacja, sprawiła, że ci którzy pragnęli tę chwilę celebrować z gorącości serc, z gotowością do wszelkich poświęceń, jako moment symbolicznej zapłaty za przecierpiane lata niewoli, zostali pozornie odsunięci w cień z wyciągniętymi w próżnię rękami. Niektórym ludziom zdawało się, że Polska przyszła od nich, nie bardzo licząc na nich i nie bardzo doceniając ich wkład w dzieło wyzwolenia. Gdy zaś szkodliwe jednostki do tego kielicha goryczy dorzuciły swój udział, w pewnym momencie autochtoni poczuli się niepotrzebnymi obywatelami drugiej klasy w wymarzonej ojczyźnie.

Tylko autochton mógł znaleźć środek na ułagodzenie ukrytych żalów i tylko on mógł zrozumieć, że nawiązanie do przedwojennych tradycji polskości pruskiej i zapewnienie pierwszeństwa dzieciom Polactwa pruskiego, w repolonizacyjnej placówce, będzie stanowić dla zgorzkniałych współrodaków satysfakcję i zaszczytne wyróżnienie.

Nie widziałem niestety Morąga w normalnym ruchu, W czasie mego pobytu budynki uniwersytetu znajdowały się w przebudowie, a nowy kurs miał rozpocząć się dopiero jesienią. Tylko pięcioro zupełnych lub częściowych sierot z dawnego turnusu doglądało gospodarstwa, głównej jak i w Rudziskach podstawy zaopatrzeniowej instytucji. Nie było mowy, by jak u Małłka śledzić choćby fragmenty przemian duchowych kursistów w codziennej uniwersyteckiej pracy. Z konieczności uniwersytet morągski „zwiedziłem" z fotela w dyrektorskim gabinecie, a „pogłębienie" wiadomości stanowiła godzinna rozmowa z piątką wychowanków, przybyłych w pośpiechu na wieść o dziennikarskiej wizycie. Było to bardzo mało, niemniej wystarczyło, by z Morąga wyjechać podniesionym na duchu.

Dewizą Morąga jest jedna z pięciu prawd Związku Polaków w Niemczech, uchwalonych na jednym z berlińskich kongresów. Cztery następne prawdy stanowią resztę pełnego wyznania wiary, które niemal od pierwszego dnia wychowankowie uniwersytetu muszą znać na pamięć i wprowadzać w życie.

Jesteśmy Polakami!

— Tak myśleliśmy przed wojną i nie odstępujemy od tego dzisiaj — powiada Boenigk. — Jak najściślejszy związek z ojczyzną, wspólną matką wszystkich Polaków — oto nasz punkt wyjścia i cel pracy wychowawczej.

Tragedią naszego regionu było zerwanie tego związku i zamknięcie w ramach zasklepionego światka, który niemczyzna usiłowała coraz bardziej ścieśniać. Tu na Warmii mieliśmy zawsze świadomość, że kiedyś nasz region należał bezpośrednio do Polski i że takie jest jego naturalne przeznaczenie. To krzepiło nasze siły w czasie niewoli. Byliśmy przekonani, że należymy do wielkiego narodu i jesteśmy krwią jego krwi i kością jego kości. Powrót do macierzy oznacza dla nas wyjście z ciasnych ram partykularza i włączenie w wielki nurt polskiego życia narodowego. Symbolem tego nurtu był dla nas znak „Rodła", stylizacja biegu Wisły, a katechizmem prawdy berlińskie, że jesteśmy Polakami, że wiara naszych ojców jest wiarą naszych dzieci, że Polak Polakowi bratem, że codziennie Polak narodowi służy, że Polska matką naszą, a o matce nie wolno mówić źle.

Przyjęliśmy te prawdy jako program działania, wbrew obawom czy nie jest on zbyt śmiały, o realizując je notujemy poważne osiągnięcia.

Morąg jest młodszy niż Rudziska o jeden kurs. Gdy Małłek rzucał podwaliny pod swą placówkę, Boenigk wrócił dopiero z obozu koncentracyjnego. Dwudziestu sześciu jego wychowanków rozpoczynało swój uniwersytecki start w chwili gdy Rudziska wypuszczały pierwszą partię odrodzonych w polskości Mazurów. Warunki były nie mniej ciężkie niż u Małłka przed kilku miesiącami. O tyle było łatwiej, że tylko kilka wyjątków, wychowanych w środowisku niemieckim za granicami regionu, nie znało języka, z drugiej znowu strony wiele było sierot i półsierot, niektórzy dotknięci zostali przez najścia szabrowników, inni przynieśli ze sobą z domów rodzicielskich gorycz znanych rozczarowań. Trzeba ich było rozruszać i natchnąć zapałem do pracy aby nie upadli pod ciężarem początkowych trudności.

— Jesteście Polakami — oświadczył im Boenigk na wstępie. Nie odczuli tego jako czegoś niespodziewanego. Świadomość polskiego pochodzenia wynieśli z rodzicielskich domów i lata wojennej nocy nie zdołały nawet najbardziej zgermanizowanym zatrzeć tego w pamięci. Wiedzieli, że urodzili się Polakami i szło im o uzyskanie takich środków pogłębienia tej wiedzy, by w nowej polskiej rzeczywistości poczuli się jak u siebie

Zadaniem kursu było wyjaśnienie i utrwalenie w ich świadomości, że polskość ich jest nie tylko wynikiem upartej podstawy rodziców, ale cząstką organiczną ich osobowości, że konsekwencją tego jest, iż posiadają ojczyznę i mają udział w jej wielkości historycznej i kulturalnej, oraz dorobku pracy całego narodu. Kurs wychodził naprzeciw ich nieświadomym często pragnieniom poznania i ukochania rodzinnego kraju, ukazywał go jako wspólny dom wszystkich Polaków, ojczyznę milionów ludzi uczciwych i pracowitych, nie mających nic wspólnego z odpryskami mętów, które zmąciły radość wyzwolenia ich rodzicom.

Pięć zgermanizowanych wyjątków ujętych zostało w karby żelaznego rygoru i rozmieszczonych wśród nie mówiącej po niemiecku garstki kolegów. Obowiązywał surowy zakaz mówienia obcym językiem.

— Mówcie raczej na migi, a po niemiecku porozumiewać się wam nie wolno — zarządził dyrektor. — We własnym zaś interesie starajcie się jak najrychlej podciągnąć do reszty kursu.

Dni upływały na nauce historii, literatury, kultury i geografii kraju, na zapoznaniu z Polską współczesną, a przede

wszystkim na intensywnej pracy nad opanowaniem poprawnej polszczyzny. Już wkrótce zgermanizowane wyjątki przyswoiły sobie dostateczną ilość słów, by móc rozmówić się w zwykłych codziennych okolicznościach. W nauce pomagano im wspólnym wysiłkiem. Zresztą cały kurs ożywiony był jedną ambicją jak najszybszego opanowania literackiego języka do tego stopnia, że po pewnym czasie z zażenowaniem tylko mówił gwarą z obcymi. W przeciwieństwie do Rudzisk, gdzie gwara stanowiła ogniwo łączące region mazurski z polskością reszty ludu polskiego, tutaj ostrogi rycerskie i najżywsze upragnienie stanowiła literacka polszczyzna.

Cud odnalezienia języka jeszcze raz okazał się w wypadku „wyjątków", które niebawem poczęły doganiać resztę kolegów. W ostatnich fazach nauki wychowankowie zapoznali się z literaturą ojczystą i gorliwość młodzieży potęgowała się w miarę coraz to nowych bodźców, jakich dostarczał każdy nadchodzący dzień.

W rozmowie ze mną piątka pozostałych na miejscu kursistów skarżyła się na krótkość pierwszego turnusu i obiecywała sobie wiele po następnym Była ona młodsza niż koledzy z Rudzisk, ale równie jak tamci poważna i skupiona. Mimo krótszej nauki mówiła zupełnie poprawnie po polsku, aczkolwiek znajdowały się między nią owe zgermanizowane ongi wyjątki.

Plany Morąga były śmiałe. Młody chłopiec o wielkich ciemnych oczach, biorąc najżywszy udział w rozmowie, przyszedł do uniwersytetu po trzech latach niemieckiego gimnazjum, nie znając języka. Pasją jego był teatr. Ilekroć rozmowa schodziła na ten temat, oczy tliły mu gorączkowym blaskiem, a twarz jego omal dziecinna jeszcze pokrywała się rumieńcem wzruszenia. Kilka miesięcy temu był jeszcze „wyjątkiem", obecnie czuł się na siłach, by robić porównania między Goethem a Mickiewiczem, któremu przyznawał większą siłę natchnienia i subtelność słowa. Początkowo miał wielkie kłopoty z „Panem Tadeuszem". Wiele niezrozumiałych miejsc rozcyfrowywał jakimś nieznanym instynktem i tak przebijał się przez trudności tekstu. Był pod wrażeniem mickiewiczowskiej poezji, podobnie jak koleżanka, wychowana w Rostocku. Swą przyszłą służbę dla Polski wyobrażał sobie jako pracę sceniczną i o tym postanowieniu mówił z uporem, obcym pozornej miękkości w sposobie bycia. Cała piątka przejęta była zapowiedzianą na niedaleką przyszłość wycieczką do Krakowa. O mieście pamiątek narodowych mówili wychowankowie Boenigka z pewnym niepokojem, jakby w oczekiwaniu lawiny wzruszeń i głębokich przeżyć. Mimo woli ujawniło się, że i ich droga do Polski nie wolna była od przeszkód i trudności.

Jeszcze jeden moment w pracy Morąga zasługuje na baczną uwagę. Będąc pod wrażeniem mnogości aspektów, uwzględnionych przez Boenigka w praktyce wychowawczej, już miałem go zapytać o pogląd na sprawę współżycia autochtonów z ludnością napływową i możliwości Morąga w tym względzie, gdy sam dyrektor poruszył ten temat.

— W murach naszego uniwersytetu dokonał się jeszcze jeden ważny eksperyment. Zwróciliśmy uwagę na **konieczność zbliżenia do siebie młodego pokolenia warmijskiego do młodzieży osadniczej i repatrianckiej.** ⅓ miejsc na poprzednim kursie została zarezerwowana dla Polaków z innych dzielnic Polski i obsadzona przez Wilnian (3), Przasnyszan (2) i Warszawian (1). Eksperyment udał się w całej pełni. Żadna nauka teoretyczna nie byłaby w stanie zilustrować prawdy, że Polak Polakowi bratem, jak harmonijne współżycie wszystkich uczestników kursu. Zażyłość była tak wielka, że na jedne z świąt młodzież napływowa zaprosiła do swych domów autochtonów i gościła ich serdecznie razem ze swymi rodzicami.

Jak się okazało, zgodne współżycie ludności na terenach odzyskanych jest możliwe przy odpowiednio dobrej woli i przy wzajemnym zaufaniu.

Uniwersytety ludowe osiągnęły swe sukcesy w nad wyraz trudnych warunkach. Na tydzień przed Boenigkiem, Małłek zaczął wprowadzać mnie w tajniki funkcjonowania swej placówki od systematycznego wyliczenia pokonanych przeszkód. W rzeczowym tonie jego wyliczeń brzmiała z trudem namowana duma i epicki patos, właściwy relacji o sprawach minionych niemniej brzemiennych w skutki. Przez powściągane odruchy zadowolenia, czuło się niewątpliwy fakt, że Rudziska wyszły szczęśliwie z dni burzy i naporu i pod pełnymi żaglami mogły rozpocząć wielki jesienny rejs.

W litanii dokonań i planów Boenigka mniej było swobody. Jeszcze troska mąciła jego opowieść. Zbyt niedawno dyrektor Morąga wszedł w żałosny stan posiadania warmińskiego uniwersytetu ludowego, obejmujący dwa kompleksy zrujnowanych i zanieczyszczonych budynków poniemieckich, stojących wśród zachwaszczonych pól. Zbyt niedawno fikcja maszyn rolniczych i puste dłonie tworzyły cały kapitał zakładowy Boenigka i realny zadatek na przyszłość.

Wstępny okres pracy upływał na borykaniu się z trudnościami. Jak niegdyś w Rudziskach głód często groził dwudziestu sześciu młodym ludziom. Życie postawiło ciężkie problemy do rozwiązania dyrektorowi młodej eksperymentalnej placówki i wystawiło na próbę już nie dobrą, ale najlepszą wolę całego morągskiego zespołu. Trzeba było pracować, czasem dosłownie w pocie czoła, by doprowadzić do porządku zaniedbane gospodarstwo, z wiosną obsiać kilkadziesiąt hektarów ziemi, zatroszczyć się o otrzymany po pewnym czasie inwentarz, a poza tym należało uczyć się i uczyć. Egzamin wypadł pomyślnie. Dzięki zbiorowej pracy dyrektora i wychowanków latem 1946 roku Morąg odetchnął pełniejszą piersią. Młoda reproduktornia polskości na Warmii dochodziła na progu jesieni do dwóch wyremontowanych budynków, miała zapewniony chleb powszedni z własnych zbiorów i jaśniejsze perspektywy dla jesiennego turnusu. Jako zajęcia praktyczne przewidziane było na przyszłość pszczelarstwo dla chłopców, roboty ręczne (z uwzględnieniem motywów regionalnych) dla dziewcząt, dla ogółu zaś lekcje rachunków gospodarczych. Ciężkie zmaganie z zapuszczoną ziemią i zrujnowanym martwym dobytkiem należały do przeszłości.

I w Morągu od jesieni o wielu kłopotach miało się mówić w czasie przeszłym. Inne potrzeby wyższego rzędu zaczęły wysuwać się na pierwszy plan. Najwyższą troską nielicznych wówczas wychowanków i ich mistrza był brak dostatecznie wielkiej biblioteki. Przy całym ogromie potrzeb i żywiołowym głodzie polskiego słowa Morąg dysponował zaledwie 40 przypadkowo dobranymi książkami. Ta skromna duchowa spiżarnia miała wystarczyć dla 40 spodziewanych na jesieni kursistów. Zarówno dyrektor jak i młodzież kładli mi na sumienie konieczność przedstawienia społeczeństwu tej najaktualniejszej bolączki uniwersytetu morągskiego.

— Niech pan napisze, że trzeba nam jak najwięcej książek. To, co mamy jest kroplą w morzu potrzeb. Niektóre książki czytaliśmy już po kilka razy, wielu, które chcielibyśmy przeczytać brak w naszym księgozbiorze. Wierzymy, że społeczeństwo przyjdzie nam z pomocą — zapewniali mnie młodzi Warmiacy — chodzi tylko o to, by ktoś mu o tym powiedział.

Dobrze by było, gdyby ta ufność nie została zawiedziona.

Rudziska i Morąg były najjaśniejszymi kartami mej pruskiej podróży. Stamtąd wyniosłem najwięcej optymizmu i ufności w polską przyszłość Warmii i Mazurów. Żadna inna racja, a bądź co bądź spotykałem się z nią na każdym kroku, nie miała tak krzepiącej wymowy, jak cichy i mało znany szerszym kołom społeczeństwa dorobek uniwersytetów ludowych. Może nie bez wpływu był tu fakt, że były one dziełem miejscowej polskości, reprezentowanej w tym wypadku przez Instytut Mazurski w Olsztynie. W każdym razie żywy oddźwięk, jaki ta praca wywołuje w duszach młodzieży tuziemczej jest osiągnięciem jedynym w swoim rodzaju. Należałoby sobie życzyć, by sieć uniwersytetów ludowych, tak pojętych, jak to ma miejsce w wypadku pruskich, objęła jak najszybciej cały obszar Ziem Odzyskanych i całą ludność autochtoniczną bez względu na przywileje wieku. Obojętne w jakiej formie będzie się oddziaływać na dwudziesto-, a jak na pięćdziesięciolatków, nasycenie ich polskością i rozbudzenie pod względem narodowym jest jednym z naczelnych zadań, jakie Polska ma do spełnienia na zachodzie i północy.

Miałem w Rudziskach kapitalne spotkanie z niezaspokojoną dotąd tęsknotą starszego pokolenia tuziemczego za bratnim, polskim słowem i ono najlepiej odzwierciedli potrzeby duchowe ludności autochtonicznej.

Po raz drugi zdążałem właśnie do Rudzisk uroczą drogą, która wiedzie do uniwersytetu. Była ona jakby stopniowaniem piękna natury, potężniejącego z każdym kilometrem i z każdym zakrętem. Osiągało ono najwyższe napięcie w otoczeniu samego uniwersytetu. Niskie baniaste chmury wisiały nad jeziorem, wieszcząc niechybnie deszcz, więc naciągałem dobrze nogi, aby na czas znaleźć się pod dachem. Deszcz pruski jest chmeryczny i złośliwy a żarty z nim nie wróżą nic dobrego. Miałem przed sobą właśnie jeden z ostatnich zakrętów, za którym widać było wspaniałą partię szosy, wysadzanej topolami, gdy z położonego nad drogą zagonu ziemniaków wynurzyła się przede mną typowa mazurska gęba, pełna zaciekawienia i ostentacyjnej życzliwości, rzuconej niby przynęta do rozmowy.

Nie ulegało wątpliwości, że kokieteria starego Mazura oznaczała, iż szuka pretekstu do nawiązania pogawędki. Złośliwe chmury stały jednak na przeszkodzie jego zamysłom i mimo życzliwej wzajemności postanowiłem nie zatrzymywać się w drodze. Miałem już nauczkę, że wściekły werbel pruskiego deszczu jest krótki, ale za to gwałtowny. Mijałem tedy klęczącego na kartoflisku amatora rozmówek z kamienną twarzą, udając zajętego własnymi myślami. Miałem nadzieję, że ponura mina odstręczy starego od zaczepiania tak nachmurzonej osobistości. W chwili gdy zdawało mi się, że wyminąłem już Scyllę i Chabrybdę, chytrość moja okazała się daremna, gdyż stary Mazur osadził mnie na miejscu filuternym zapytaniem czy nie boję się zmoknąć w lesie, do którego z takim pośpiechem zdążam. Trzeba się było poddać i wyjaśnić, że nie idę do lasu.

— Jo, do ty waldfrydy — dorozumiał się Mazur — tam gdzie siedzi Małłek.

W ten sposób rozpoczęła się dziwna rozmowa, jeden ze skromnych, ale cennych upominków mazurskiej ziemi. Jak się rychło okazało, Mazur zatrzymał mnie najwyraźniej po to, by dla jakiejś sobie tylko znanej przyjemności, porównać swoją gadkę z moim sposobem mówienia. Zaczęło się od pokazania mi skromnego plonu, co zostało zrobione z miną amerykańskiego farmera, nagrodzonego na prowincjonalnej wystawie. Następnie dowiedziałem się, że ziemniaki rosnące przy drodze są niczym w porównaniu z olbrzymami koło chałupy, a gdy tym razem podstęp nie odniósł skutku i nie dałem się wyciągnąć na spacer, rozmowa zeszła na najintymniejszy i niezawodny w Prusach temat na plagę myszy i szczurów. Przez kwadrans słuchałem opowiadania o szkodnikach, które pospołu z ptakami „jak ogień" niszczą całe połacie pól, o obyczajach domowych i polnych myszy, wreszcie o przewagach własnych Mazura nad mysią inwazją. Gdy sam się nagadał, spytał konfidentnie, czy nie znam przypadkiem jakiejś skutecznej trucizny na myszy. Był to czysty podstęp. Plotłem trzy po trzy, a on jak kogut nad znalezionym ziarnkiem kręcił głową nad moją „gadką" i raz po raz łykał ślinę, aż grdyka mu chodzić poczęła miarowo ku dołowi i ku górze, niby sztanca wyciskająca wzorki skomplikowanych doznań. Wiedział, że nic a nic nie znam się na myszach, ale chciał posłuchać mojego „gadania". Dowiódł mi tego rychło, gdy roztoczył przede mną zasób swej bogatej erudycji w tym względzie, klarując, że myszy najlepiej tępi się zaszczepiając im „bacilus" tyfusu, albo zatruwając przynętę cjankali lub strychniną. Jak mi wyznał w zaufaniu te najlepsze trucizny posiada tylko rząd i od niego zależy w głównej mierze, czy na Mazurach da się skutecznie wytruć rozpanoszone myszy.

Po tej rozmowie szedłem topolową drogą, taką samą, jakie widywało się dawniej na wystawach fotografiki w subtelnym ujęciu Bułhaka, a deszcz wybębniał mi na grzbiecie uciesznie melodie. Tym razem nie miałem nawet do niego pretensji. Przypadek odsłonił mi jeszcze jeden głód tej ziemi **głód polskiego słowa.** Wtedy też przyszło mi do głowy, że nie najgorszą rzeczą byłoby złożenie niedawnym „wymierającym" jakiegoś prezentu od odzyskanej ojczyzny. Młodzież otrzymała go w postaci uniwersytetów ludowych. Starzy jak dotąd kontentują się satysfakcją, że po raz pierwszy od lat dzieci ich mówią po polsku. Tylko ta satysfakcja jakoś im nie wystarcza i na własną rękę szukają niedostępnych im przeżyć na szlakach mazurskich i warmijskich dróg.

*) Por. pierwszą część: Pasym — Rudziska w n-rze 40 „Odry".

Z wystawy Artystów-Plastyków

Od lewej: Marcinow Stanisław: Portret pani M. Z. — Acedański Zygmunt: Ptasznik (drzeworyt) — Rak Aleksander: Dziewczyna (ołówek) Acedańska-Nowakowska Irena: Kazimierz (drzeworyt)

Kronika kulturalna Warmijsko-Mazurska

INAUGURACJA ROKU AKADEMICKIEGO W OLSZTYNIE.

W dniu 24 października br. odbyła się **uroczystość inauguracji roku akademickiego 1946/47 na Studium Prawno-Ekonomicznym U. M. Kopernika w Olsztynie.** Z faktem tym wiąże się powstanie uczelni typu wyższego na terenie Warmii i Mazur, co ma znaczenie ogromne dla podniesienia poziomu kulturalnego na Ziemiach Odzyskanych. Na uroczystości inauguracyjnej oprócz przedstawicieli Rządu był obecny Delegat Rektora U. M. K. prof. dr. Kazimierz Hartleb, który w pięknym przemówieniu połączył tradycje naukowe Kopernika z tradycją szukania prawdy w twórczości naukowej. Następnie zabrał głos dziekan Wydziału Prawa prof. dr. Namysłowski, który ogłosił studium prawne w Olsztynie za otwarte wyrażając przekonanie, że przetrwa ono wieki na równi z Uniwersytetem Toruńskim.

Zebrani wysłuchali następnie tradycyjnego wykładu inauguracyjnego pióra dr. Z. Robla, wojewody olsztyńskiego, który z powodu nieszczęśliwego wypadku nie mógł osobiście go wygłosić, poruczając odczytanie rękopisu mgr. M. Palamarczykowi. Temat wykładu był interesujący nosił tytuł: „Zarys historii Wyższych Szkół prawno-administracyjnych w Polsce". Jako ostatni zabrał głos prof. dr. Hejnosz, który przeprowadził w dłuższym wykładzie analizę usiłowań reformy studiów prawniczych w Polsce i w Europie.

Tyle o części oficjalnej. Natomiast do nieoficjalnych wiadomości należy fakt, że **uczelnia olsztyńska nie ma dotąd własnego gmachu, nie ma pracowni i biblioteki.** Z inicjatywy i wysiłku Wojewody olsztyńskiego dr. Z. Robla powstało Towarzystwo Wyższej Szkoły Prawno-Ekonomicznej w Olsztynie. Jego zadaniem winno być jak najszybsze zdobycie obszernego gmachu dla Studium Prawno-Ekonomicznego oraz wyjednanie u Władz oświatowych funduszów na zagospodarowanie gmachu, założenie odpowiednich zakładów i biblioteki. Już dziś winno się Towarzystwo zwrócić do odpowiednich czynników z prośbą o wyjednanie dla Studium wszystkich dubletów bibliotek publicznych w Polsce Centralnej dotyczących nauk prawnych i społeczno-ekonomicznych. Drugim zadaniem niezmiernie ważnym jest **sprawa odpowiednich warunków mieszkaniowych dla dojeżdżającego ciała profesorskiego z Torunia.** Wykładowca przyjeżdżający na wykłady nie może się tułać po hotelach olsztyńskich lecz winny mu być stworzone takie warunki, by mógł w spokoju przygotowywać wykłady mając odpowiednią podręczną literaturę naukową na miejscu.

Odpowiednie warunki mieszkaniowe dla wykładowców Wydziału Prawnego U. M. K. z Torunia to tylko minimum potrzeb, które muszą być zrealizowane przez odpowiednie czynniki. Należy pomyśleć o miejscu dla wykładowców i z innych wydziałów a przede wszystkim dla przedstawicieli nauk humanistycznych, którzy tu na miejscu będą przez swój kontakt ze społeczeństwem, Instytutem i Muzeum Mazurskim pracowali twórczo, naukowo nad problemami Pojezierza Mazurskiego i Warmii. To są nasze minimalistyczne żądania jakie kierujemy pod adresem Towarzystwa Wyższej Szkoły Prawno-Ekonomicznej w Olsztynie oraz w stosunku do odpowiednich Władz oświatowych w Olsztynie i Warszawie. **(j. ant.)**

BIBLIOTEKI NAUKOWE W OLSZTYNIE

W Olsztynie tworzy się dzięki energii i ofiarności pracowników Instytutu Mazurskiego bibliotekę naukową Instytutu, która będzie podstawowym warsztatem pracy badawczej terenu warmijsko-mazurskiego i dolnego Powiśla.

Jednocześnie Muzeum Mazurskie w Olsztynie tworzy taką samą bibliotekę w węższym zakresie naukowym, a mianowicie tworzy się biblioteka z zakresu prehistorii bałtyckiej, pruskiej i letto-litewskiej oraz etnografii pruskiej i mazurskiej. Osobny dział, już dziś bogaty, stanowi historia sztuki terenów warmijsko-mazurskich i dolnego Powiśla.

Wprawdzie dotąd obie te biblioteki liczą około 10.000 tomów, tym niemniej są one cennym warsztatem pracy naukowej na tym terenie. Trzeba przyznać, że jak dotąd mimo szeregu odnalezionych księgozbiorów niemieckich, zabezpieczonych po dworach i leśniczówkach, Ministerstwo Oświaty nie wystąpiło dotąd z konkretnym planem stworzenia państwowej biblioteki ogólnonaukowej w Olsztynie — lecz wprost przeciwnie — zbiory biblioteczne wywożone są z tych terenów na ziemie Polski Centralnej. W ten sposób teren warmijsko-mazurski zostaje **wyjałowiony pod względem kulturalnym,** co nie przyniesie dodatnich skutków na przyszłość w dziedzinie kultury i nauki. **(j. ant.)**

TEATR „WSPÓLNYMI SIŁAMI" W PASŁĘKU.

W Pasłęku powstał teatr amatorski pod nazwą „Wspólnymi Siłami". Fachowe kierownictwo artystyczne i reżyserię objęła artystka dram. Izabella Krzemieniecka, osiadła od niedawna w Pasłęku. Zorganizowany przez nią zespół wystawił już szereg wartościowych sztuk i coraz bardziej doskonali swój program artystyczny, mając stosunkowo znośne warunki lokalowe i techniczne. Mamy nadzieję, że właściwe czynniki przyjdą zespołowi z pomocą oraz, że zespół ten obejmie swą działalnością artystyczną szereg powiatów zachodniej Warmii i dolnego Powiśla. Nadmienić wypada przy tym, że podobny teatr istnieje już od dłuższego czasu w Łuczanach (Giżycko) na drugim końcu województwa i występy jego w sąsiednich miastach cieszą się wielkim powodzeniem, zwłaszcza spośród ludności przybyłej z Wileńszczyzny, która poznaje i szczególnie żywo oklaskuje występujących w tamtejszym zespole popularnych aktorów rewiowych, przybyłych z Wilna. W ten sposób ziemie Warmijsko-Mazurskie posiadają dwie instytucje życia artystycznego, powstałe na skutek czynnika społecznego w dwóch krańcach województwa, spełniając doniosłą rolę upowszechniania kultury. **(j. ant.)**

SPRAWY TEATRALNE W OLSZTYNIE.

„Teatr Młodych", który rozpoczął pracę pod kierownictwem artysty Igara, członka zespołu teatru olsztyńskiego w krótkim czasie rozpocznie swą normalną pracę dając jako pierwszą sztukę rzecz francuskiego autora Duval'a p. t. „Stefek". Przedstawienia „Teatru Młodych" odbywać się będą prawdopodobnie nie w gmachu teatralnym ale w przystosowanej dla sztuki scenicznej sali przy ul. Zwycięzców.

Oprócz „Teatru Młodych" ostatnio wystąpiono z inicjatywą stworzenia w Olsztynie **teatru dla dzieci.** Koło prac wstępnych zmierzających do urzeczywistnienia tego planu grupuje się kilku wybitnych znawców teatru dziecinnego, tak że przypuszczalnie sprawa nabierze realnych kształtów. Chodzi przede wszystkim o wysoki poziom artystyczny oraz umiejętnie podany program pod kątem potrzeb dydaktycznych. **(j. ant.)**

Z prac Wojewódzkiej Rady Kultury

Górnośląska Rada Kultury organizowała się w pełni optymizmu. Optymizm ten płynął z pewności, popartej licznymi deklaracjami i oświadczeniami, że Rada będzie miała stały miesięczny budżet, nie uszczuplany a raczej z miesiąca na miesiąc powiększany. Mówiło się o milionie złotych. Tymczasem dziś już jest wiadomym, że zamiast miliona złotych Rada ma zaledwie kilkaset tysięcy miesięcznie, że niektóre instytucje zalegają z płaceniem, że wreszcie pewne zjednoczenia przemysłowe zadeklarowały sto złotych miesięcznie, a niektóre bogate wolne zawody tysiąc złotych.

Po okresie optymizmu przyszedł okres troski. W tych dniach Rada przystąpiła do rozdziału stypendiów. Fundusz stypendialny wynoszący z początku sto tysięcy złotych miesięcznie musiał zostać powiększony do dwustu tysięcy. Ale i to jeszcze nie wystarcza. Do Rady wpłynęło ponad 300 wniosków, z których conajmniej 250 zasługuje na bezwzględne uwzględnienie. Postanowiono wybrnąć z kłopotu dzieląc stypendia, ale członkowie prezydium Rady doszli do słusznego wniosku, że dzielenie stypendiów jest i nieskuteczne i w pewnym sensie niemoralne. Cóż bowiem da tysiąc złotych miesięcznie studentowi górnośląskiemu, studiującemu np. polonistykę we Wrocławiu? To też Rada, nie mogąca już własnymi siłami powiększać funduszu stypendialnego, postanowiła się zwrócić do czynnika społecznego z prośbą o ufundowanie reszty stypendiów.

Na marginesie wniosków o stypendia warto zaznaczyć, że wniosków rdzennych Ślązaków jest kilka zaledwie procent. Skądinąd wiemy, że równie nikły procent jest Ślązaków studiujących na wyższych uczelniach. Wynika z tego, że długo jeszcze nie będziemy mieli inteligencji miejscowej na tyle, by skutecznie mogła ona stanąć na czele rozmaitych placówek gospodarczych, kulturalnych czy społecznych na Górnym Śląsku. Wynika z tego i to, że synowie i córki robotników, utrzymujących całą swoją rodzinę ze swojej jedynie pracy, wciąż jeszcze nie mogą studiować. — Nie twierdzimy, że wina leży po stronie państwa, szukać jej należy raczej w specyficznych warunkach społecznych, które są powodem znacznych różnic materialnych między poszczególnymi grupami obywatelskimi.

Sprawa stypendiów jest główną troską Rady. Do tego przyłączają się rozmaite troski pomniejsze. Coraz częściej zwracają się różne instytucje z prośbą o pomoc. Dotąd Rada udzieliła subwencji niektórym teatrom górnośląskim, muzeum w Bytomiu, „Nowinom Opolskim", Związkowi Literatów na wydanie dwóch numerów Arkusza Śląskiego, Kołom Śpiewaczym na wydanie repertuaru śpiewaczego, Bibliotece Śląskiej na przywóz i zabezpieczenie książek poniemieckich lub ewakuowanych z Katowic na zachód, Szkole Tanecznej w Sosnowcu (słuszne były obiekcje niektórych członków Rady, czy Rada powinna subwencjonować szkoły) i wielu innym instytucjom. Sprawa poparcia nagrody „Odry", poruszona przez nas w ostatnim numerze, dyskutowana była raz jeszcze. Ostatecznie Bolesław Woytowicz wystąpił ze sprzeciwem najbardziej zdaje się przekonywującym: Rada jest za poważną instytucją, by **przyczyniać** się do ufundowania nagrody. My polemizując we wspomnianym numerze „Odry" ze stanowiskiem p. Żakieja, nie zamierzaliśmy w niczym naruszyć powagi Rady.

Ostatecznie Rada postanowiła **ufundować** trzy nagrody artystyczne, które mają być przyznane już w przyszłym roku. Nareszcie. **Brz.**

Niemiec laureatem literackiej nagrody Nobla

Tegoroczny laureat nagrody literackiej Nobla, Hermann Hesse urodził się 2 lipca 1877 w mieście Calw, w latach 1895 — 1903 pracował jako księgarz w Tybindze i Bazylei, później zamieszkał już na stałe w Szwajcarii w miejscowości Montagnola pod Lugano, gdzie przebywa po dziś dzień.

Będąc synem Estończyka i rodowitej Szwabki czuje się więcej związany z regionem alemańskim, w którym zamieszkał i z którego czerpie tworzywo do niektórych swoich utworów, niż z całymi Niemcami. Zaczyna od poezji w stylu Moerikego, długi czas stoi jednak pod urokiem śląskiego Eichendorffa. Sławę daje mu autobiograficzna po części powieść „Piotr Carmenzind". Jest to opowieść o chłopcu przyrody, który przychodzi od chłopa, przebiega krajobrazy kultury, by wrócić do chłopa. Krytyka niemiecka w opowieści tej pragnie widzieć dzieje rozwoju niemieckiego (Mahrholz). Późniejsza hitlerowska krytyka nie może Hessemu wybaczyć kultu osobowości, przerostów indywidualizmu, widocznych w jego dalszych powieściach „Pod kołem", „Gertruda", „Wilk stepowy" i „Narcyz złotousty", w których zwraca się także w kierunku psychoanalizy. Odbywa podróż do Indii, z której przywozi wiele ciekawych spostrzeżeń, zawartych w jego książce „Z Indii". Książki wyrosły także ze studiów nad Boccaciem i Franciszkiem z Assyżu.

Po wojnie pisze książkę niemieckiej młodzieży „Demian". Po wojnie też wraca do swoich początkowych zainteresowań Eichendorffem i przez niego poznanym Śląskiem, przyłączając się do protestów pisarzy niemieckich w sprawie oderwania od Niemiec „skrawków ziemi Eichendorffa" na Górnym Śląsku.

Choć był emigrantem dobrowolnym a nie politycznym, nie odwiedził Niemiec ani razu w okresie hitlerowskim. W Niemczech mają mu to za złe, ale piszą o nim nadal, nie mogąc pominąć jego dorobku. Żyje jakby w oderwaniu do spraw niemieckich, nie znajduje się też jego nazwisko na niektórych protestach emigracyjnych pisarzy niemieckich przeciwko niszczeniu dóbr kulturalnych w hitlerowskich Niemiec. Po wojnie w sławie i zasługach zdystansowany został przez Gerharda Hauptmanna, który poszedł drogą łatwiejszą, bo zgody z hitleryzmem. W ubiegłym roku wyszła w Berlinie nowa powieść Hessego „Glasperlenspiel".

Przyznanie nagrody Nobla Hessemu uznane zostało w Niemczech za akt zaufania do Niemców, akt przekreślenia zbrodni, a uznania walki, którą naród niemiecki — jak podaje dufnie jedna z gazet berlińskich — toczył na równi z innymi narodami przeciw tyranii hitlerowskiej, czego dowodzi przykład Hessego.

Jerzy Szumilas.

Henry Baerlein

Generał

Jeńcy *) polscy w jednym z obozów w Niemczech północnych zdołali uzyskać pozwolenie na urządzenie obchodu swego święta narodowego 3 Maja, pod warunkiem że hymn narodowy nie będzie odśpiewany. Komendant obozu w przystępie niebywałej łaskawości raczył nawet zwolnić ze zwykłych zajęć dwóch jeńców: Jana, który przed wojną był czeladnikiem u malarza pokojowego, i Adama, cieślę z Gdyni, jegomościa w średnim już wieku. W ciągu kilku dni mogli oni zajmować się wyłącznie dekorowaniem gołych ścian dużej sali, w której miał odbyć się obchód.

Kilkuset Polaków rozgadało się na dobre na temat zmiany stanowiska komendanta obozu, który w latach poprzednich wymagał, aby dzień święta narodowego nie różnił się niczym od dni powszednich. Niektórzy przypuszczali, że komendant, służbista, liczy się z możliwością porażki Niemiec, spodziewa się, że drobny ten dowód życzliwości będzie wzięty pod uwagę przez zwycięskich sprzymierzonych. Bez względu na pobudki postępowania, przyznać trzeba, że posunął się aż tak daleko, iż zawiesił na ten właśnie wieczór zakaz grania utworów Chopin'a.

Cieśla Adam wypróbowywał kurtynę, spuszczając ją i podnosząc raz po raz.

— Z całego programu — powiedział — najbardziej podobają mi się pieśni ludowe, które będziemy mieli na zakończenie. Wybrali same najlepsze, znane wszystkim, więc cała sala będzie wtórowała chórowi. Żeby tylko nie narobili za dużo hałasu!

— Przypomina mi to coś — powiedział Jan, spoglądając w dół za szczytów drabiny. — Czy opowiadałem Ci już, co słyszałem raz przez „podziemne" radio, zanim dostałem się tu — taką sobie historię o trzech oficerach polskich, którzy nie mrugnęli nawet okiem i nic nie powiedzieli?...

Po czym opowiedział o Niemcu, chłopie na schwał, który dostał się do niewoli angielskiej na Bliskim Wschodzie. Miatał się jak wściekły, bił i kopał strażników, pluł na nich. — Wydaje mi się — ciągnął dalej Jan — że przy całej swej brutalności nie mogą się oni pozbyć myśli o Polsce i o tym, czego się tam dopuszczali. Słyszałem, że prześladuje ich to nieustannie. Niemca, o którym zacząłem mówić, wepchnięto do dużego pokoju, gdzie siedziało za stołem trzech mężczyzn. Rzucił się ku nim zuchwale, w przekonaniu, że są Anglikami. Nagle stanął w miejscu jak wryty. Przed oficerami leżały na stole polskie rogatywki. Niemiec zaczął się w nie wpatrywać, cofając się odruchowo, wreszcie upadł, zaczął się czołgać po podłodze, z pianą na ustach, dając żałosne widowisko. Czy dasz temu wiarę?

— I jeszcze chełpią się, że są Herrenvolkiem! — wykrzyknął cieśla i z furią zabrał się do wbijania dalszego gwoździa.

Dalsza dyskusja musiała ulec odroczeniu, ponieważ na salę wkroczył znienacka komendant obozu. Zaczął mówić, zanim zdążył podejść do pracujących.

Potrzebne będą jeszcze dwa fotele — oświadczył — przed pierwszym rzędem: jeden dla niego samego, a drugi dla gościa. I, rzecz prosta, obchód nie będzie mógł się

Pierwsza wystawa malarstwa w Katowicach

Spotkałem przed laty w Bernie pewnego trzeźwego Szwajcara, członka misji Callonder'a, która z ramienia Ligi Narodów referowała sporne kwestie polsko-niemieckie na Śląsku. Opowiadał, że z początku trudno się było zorientować, o co właściwie stronom chodzi. Spodziewał się, że największe trudności leżeć będą w rozgraniczeniu interesów przemysłowych tego centrum przeciętego przez pół granicą, przebiegającą miejscami niemal przez dziedzińce fabryk. O dziwo! Tamte sprawy były zawsze łatwe. Zasadniczy konflikt zaznaczał się przede wszystkim w kwestiach szkolnych, wyznaniowych, w sprawach **kultury.**

Mnie to nie dziwiło. Wszak stosunkowo niedawno temu wieś Kotowice (dziś Katowice) należała do mysłowickiej parafii. Wszak niedawno jeszcze rąbano tu las, by posadzić las nowy, kominów fabrycznych. Pamiętają to nasi dziadkowie. Pamiętają też najstarsi ludzie, że lud śląski z tą samą tężyzną, z jaką walczył o chleb codzienny, walczyć musiał o mowę ojczystą, o swoją godność narodową, o swoją kulturę. Problem kultury był korzeniami zrośnięty z tą ziemią. Interesy przemysłowe były interesami niemieckich przybyszów.

Zauważyli od razu cudzoziemcy z misji ów antagonizm narodowościowy i kulturalny; ale nasze sfery rządzące zajęte sprawami gospodarczemi zdawały się nie dostrzegać i nie doceniać potrzeb żywego człowieka, potrzeb ducha. Zbyt mało ludzi zdawało sobie sprawę z tego, że do odniemczenia kraju nie wystarczy szkoła ludowa w języku polskim, że należałoby stwarzać warunki jak najpełniejszego rozwoju życia intelektualnego i psychicznego; że w końcu, by zmienić oblicze miasta, czy wsi należy budować nowe domy, a ze starych usuwać wszystko, co przez swoją brzydotę i tandetność zatruwa nam życie; że trzeba popalić ohydne niemieckie oleodruki i zastąpić je obrazami ludzi czujących współcześnie i żywo.

Piwowarski Edward: Macierzyństwo

Pomorski Rafał: Martwa natura

Może najbardziej po macoszemu traktowaną dziedziną życia społecznego była plastyka. Stworzono wprawdzie muzeum, ale nie pomyślano o pracy twórczej. Nie założono artystycznych szkół i aż do wojny nie było ani jednej wystawy. Społeczeństwo pozbawione dostępu do sztuki polskiej żyło wspomnieniami niemczyzny. Prywatna Szkoła Malarska, założona z dużym wkładem energii i pieniędzy przez **T. Michejdę,** spotkała się z żywym zainteresowaniem społeczeństwa, świadczącym o prawdziwiej potrzebie takiej instytucji. Garnęli się do niej inteligenci i robotnicy, jeden z nich przebywał na rowerze 40 km, aby tylko korzystać z nauki.

Wydaje się paradoksem, że pierwszy lokal wystawowy w Katowicach otwarto dopiero tydzień temu, choć sytuacja mieszkaniowa i lokalowa przed wojną była bez porównania łatwiejsza. Jeśli stało się to teraz właśnie, zawdzięczamy to ludziom dobrej woli. Zawdzięczamy to zrozumieniu, jakie ma dla tych spraw Wojewoda, zawdzięczamy to prezydentowi miasta, zawdzięczamy to Okręgowej Komisji Zw. Zaw., reprezentującej świat robotniczy, który chyba najżywiej zdaje sobie sprawę z tego, czego społeczeństwu potrzeba: bo zbyt długo odcinany był od pełnej radości życia.

* * *

Oddział Katowicki Z. Z. P. A. P. jest jednym z najliczniejszych w Polsce, bo obejmuje duży Okręg. To też organizatorzy Wystawy Jesiennej spotkali się z nielada trudnościami chcąc pośród wszystkich nadesłanych prac wybrać tyle jedynie, ile pomieścić może niewielki lokal przy ulicy Dworcowej 13. Selekcja nie wyszła wystawie na złe, bo wpłynęła na podniesienie ogólnego poziomu. 49 artystów wystawiło 99 prac. Można stwierdzić z zadowoleniem, że artyści tutejszego Okręgu pracują i rozwijają się. Nawet krótki okres czasu, który upłynął od wystawy w Bielsku, zaznaczył się pewną zmianą w twórczości niektórych malarzy; bo każda wystawa daje plastykowi nowe doświadczenie.

I tak u **Mariana Wyrożemskiego** zauważamy w portrecie dziewczynki duże rozjaśnienie gamy połączone z wzbogaceniem gry kolorów **Bolesław Stawiński** podchodzi do każdego swojego obrazu z innym dotknięciem, a przecież jego sposób patrzenia jest zawsze bardzo osobisty; jednak różnice między „Uchodźcami", „Pejzażem" i „Kwiatami" wykazują dużą skalę możliwości kształtowania wizji u tego artysty.

Pejzaż zimowy jest może najbogaciej przeprowadzony. Malarz operuje tam pełn i subtelną gamą; nie zastanawia się, jak nazwać kolor poszczególnych plam, zbyt uzależnionych od siebie nawzajem; wartość oderwaną każdego elementu trzeba by chyba określić rachunkiem różniczkowym. Jest to cechą elementów, które żyją i warunkiem ich życia. Duży rozwój daje się zauważyć u **Janusza Łonickiego.** Wystawia 3 pejzaże olejne i i jedną akwarelę, wszystko tematycznie związane ze Śląskiem. Najkonsekwentniej jest przeprowadzony pejzaż „Kopalnia". „Dolny Śląsk" robi wrażenie płaszczyzny wichrowatej, bo chociaż całość kompozycyjnie dobrze pomyślana, jednak poszczególne partie nie są wyciągnięte na płaszczyznę z równym nasileniem. Tego rodzaju niedociągnięć nie spotykamy u **Rafała Pomorskiego.** Wystawia on po raz pierwszy na naszym terenie. Jego tonacja jest zawsze przyciszona, ale kolorowa i przez to nie nudna. Ładny pejzaż śląski daje **Maria Grychowska. Jerzy Bulak** wyzwala się ostatnio z tendencji do przebieleń, związanej z jego ulubioną techniką temperową. Tadeusz **Michejda** zestawia kolor żywo i niebanalnie. Pewna amatorskość tego malarstwa jest raczej jego zaletą dzięki swojej świeżości. „Praczka", obraz **M. Piwowarskiej,** odbiega wyraźnie od jej dotychczasowych założeń. Nie pozwala on jeszcze na wysnuwanie wniosków za daleko idących, choć widać w nim całkiem logiczną myśl: dążenie do dekoracyjnego użycia pewnych elementów fakturowych. (Porównaj rysunek dachówek, bieliznę wiszącą, krzaczek.) Martwa natura trochę brudna, może „przemęczona", a tego tempera nie znosi. Zato jej pejzaż z drzewami, jest dekoracyjny i ładnie wypracowany. Stanisław **Dawski,** który w Bielsku wystawiał same rysunki, tym razem pokazuje duży pejzaż z Gdańska. Płaszczyzna obrazu podzielona jest poziomo profilem mostu podkreślonego barwnym sznurem ludzi przechodzących pontonem. Ta prostota kompozycji nie przeszkadza malowniczości; woda jest może trochę martwa, (czy to nie wina wojennej farby?), za to góra obrazu jest piękna i bogata choć prosta. W pracach **Marii Dawskiej** zauważamy postęp w uporządkowaniu płaszczyzny obrazu. Nie ma tam już tego zaniedbania w pierwszych planach, które dawało się u niej czasem zauważać. Jan **Dutkiewicz** ma w swoich pejzażach sporo wyczucia, jednak w każdym z nich jest coś, co nam przeszkadza. Podam przykład: W miłym pejzażyku z Bystrej, czerwone kominy i daszki na dolnym planie nie grają dość subtelnie z niebem. Ożywiają jednak całość. Na wystawie jest reprezentowana sztuka tzw. „abstrakcyjna" w obrazach **Kazimierza Rafińskiego.** Jeśli zwrócimy uwagę na to, że

Mehl Antoni: Główka dziewczynki

forma, a raczej poszczególne **kształty** niezawsze przekonywująco związane są z kolorem, dojdziemy do wniosku, że bardziej abstrakcyjnym jest malarstwo Stawińskiego czy Pomorskiego bo jednolitość i uporządkowanie malarskiej wizji jest tą właśnie abstrakcja, o którą chodzi w obrazie. Elementy, nie doprowadzone do wartości abstrakcyjnej, nie stworzą nigdy całości, bo nie będą mogły posiadać cech wspólnych i współzależnych.

Dział grafiki reprezentowany jest bogato przez drzeworyty obojga **Acedańskich,** stojące na wysokim poziomie. **Aleksander Rak** wystawia dwa rysunki i jedno lawis, pełne wyrazu i subtelności. Oszczędność środków w jego pracach znamionuje rysownika wysokiej klasy. Ładną akwafortę „Drzewo" pokazuje nam Hanna **Kiedrzyńska-Berbecka.** Piękny jest drzeworyt **Jana Chwieruta.** W uzupełnieniu tego działu wymienić należy **Józefa Mroszczaka** ilustracje do książek dla dzieci, malowane temperowo, ale sugerujące formą technikę drzeworytową. Jego morskie głębiny ustrojone koralami działają bardzo dekoracyjnie i jako ilustracja spełnią swe zadanie zaciekawiając młodocianego czytelnika.

Wystawia kilku rzeźbiarzy: Jackowski, Marcinów, Mehl, Piwowarski, Sadowski. Bardzo szlachetna w formie jest główka dziewczęca **Mehla.** Portret **Marcinowa** odznacza się ładnym ustosunkowaniem brył i spokojnym traktowaniem powierzchni.

Jacek Puget.

---

rozpocząć, dopóki obaj nie zajmą swych miejsc. Rzekłszy to, zapoznał się ze stanem robót, które nie przypadły mu jednak do gustu.

— Wszystko będzie gotowe na czas — zapewniał cieśla.

— Powtórnie ordynarne te sterczące deski! Donnerwetter!

— Kolega mój — powiedział cieśla — pomaluje i będzie wszystko w porządku.

— Przydało by się tu trochę kwiatów — dodał komendant — ale w tej dziczy — Nic, tylko wrzos i wrzos na mile dookoła. Gdyby zawiadomiono mnie w porę, że generał von Sokolnitzky zaszczyci nas swą obecnością, poczyniłbym odpowiednie przygotowania. Wy oczywiście nie wiecie, nie mam zresztą o to żalu do was, że Jego Ekscelencja jest człowiekiem niezwykłej kultury. Wystarczy powiedzieć, że jest cenionym poetą. Wracając do wrzosu, myślę, że byłoby dobrze zasłonić nim, na całej długości, tę wystającą belkę. Zrozumiano? Możecie iść obaj narwać wrzosu. Eskorta będzie czekała za pięć minut przy głównej bramie.

Podczas gdy jeńcy pochłonięci byli łamaniem gałązek liilowego wrzosu, strażnik z karabinem, postępujący krok w krok za nimi, zdawał się początkowo traktować sytuację bardzo poważnie. Śledził ich ruchy, jakby oczekiwał z ich strony nagłego skoku, który by go zmusił do użycia broni. A jeżeli poderwą się nagle, jak para bekasów, a on strzeli i... chybi? Na samą myśl o tym pot wystąpił mu na czoło. Za karę gotów pójść na front, może nawet na rosyjski. Aż go ciarki przeszły.

Mijały minuty, a żaden z jeńców nie sprawiał mu kłopotu. Dołączył się przeto do ich rozmowy. Mówili właśnie o owym generale, który miał przybyć na ich obchód.

— Niemiecki generał o tak ładnym, polskim nazwisku — powiada cieśla.

— Pochodzi ze Śląska — objaśnił strażnik. — Ja też pochodzę stamtąd. Ośmieliłbym się nawet przypuścić, że jego dalecy przodkowie byli Polakami, jak wy. Oczywiście, dziś jest to już rodzina stuprocentowo niemiecka.

— Przez dwieście lat — zauważył malarz — prowincja ta należała do Prus, przedtem zaś do Austrii, to i nic dziwnego, że się zniemczyła.

Jego Ekscelencja von Sokolnitzky przybył punktualnie na polski obchód narodowy. Rozpoczęto przedstawienie. Malarz i cieśla obsługiwali kurtynę z dwu końców sceny. Generał wyrażał zadowolenie w sposób tak żywy, że po każdym numerze kurtyna szła jeszcze raz do góry, aby aktorzy mogli się nacieszyć objawami jego uznania.

Ostatnią częścią programu były wspomniane wyżej pieśni ludowe. Chór śpiewał już nie udatnie, lecz, jak na warunki obozowe, po mistrzowsku. Generał przemienił się cały w słuch. Widać było, że rozumie i odczuwa ducha melodii, chociaż nie rozumie jej słów. Nagle, w trakcie ostatniej pieśni, von Sokolnitzky uniósł się z krzesła, z ręką na sercu. Zaraz jednak opadł ciężko, bezwładnie. Komendant z pomocą najbliższego widza, wyniósł go na dwór, gdzie ułożono go ostrożnie na skrawku trawnika. Wezwany lekarz klęknął przy jego boku.

W pewnej chwili na twarzy generała zajaśniał blask błogiego uczucia, a z ust wyszło głębokie, ostatnie westchnienie. Lekarz spojrzał na komendanta i skinieniem głowy stwierdził, że to koniec.

---

*) Fragment książki: „Leaves in the Wind (Liście na wietrze)", London 1946.

Ankieta „Odry"

Pisarze polscy na Ziemiach Odzyskanych

Janina Zabierzewska-Żelechowska

1) Od r. 1923 osiedliliśmy się z mężem w Katowicach na stałe (z przymusową przerwą okresu okupacyjnego). — Teren, jego problemy, a przede wszystkim polski lud śląski — pociągnął mnie z nieprzepartą siłą, co ukształtowało mój stosunek do spraw tej ziemi i jej autochtonicznej ludności. W ludzie tym tkwi głęboko zakorzeniona polskość, uświadomiony upór w wyrąbywaniu sobie drogi do wolności spod ucisku niezahamowany szesciowiekową niewolą — niezatarty wrogimi szykanami i uporczywą germanizacją. — Już na szereg lat przed 1939 r. wielu z nas przybyszów — dzięki ścisłej szczerej i serdecznej współpracy ze Ślązakami — na tej i dla tej ziemi, zyskało sobie wielu przyjaciół wśród ludu śląskiego. Ta ziemia śląska i jej autochtoniczna ludność polska, ma to już do siebie, że każdy, kto się z nią i z nimi bliżej zetknie — pozna, zżyje, musi pokochać i zrozumieć to wszystko, co dla kogoś niezżytego i nieobeznanego z warunkami i problemami śląskimi zdaje się być niezrozumiałe i w następstwie bywa przyczyną — fatalnych w skutkach — krzywdzących i niesprawiedliwych sądów.

Kto się głębiej zżył z tutejszą ludnością — nauczył się — rozeznania. I nie tylko rozeznania. Zbratany serdeczną przyjaźnią i pracą — z tą ziemią, jej człowiekiem, i jego sprawami — czuje się tu wśród swoich — u siebie — w najbliższej sercu Ojczyźnie!

2) Moje zainteresowania, praca społeczna i literacka wiązały się i wiążą ściśle ze Śląskiem. Znalazło to swój wyraz w wielu moich przedwojennych artykułach na tematy zagadnień społecznych — śląskich, drukowanych w czasopismach i dziennikach śląskach i ogólno-polskich — udziałem w imprezach literackich, urządzanych w różnych miejscowościach Śląska, w audycjach radiowych, odczytach i pogadankach na zebraniach Polek śląskich, co było najmilszym nawiązywaniem i zacieśnianiem węzłów przyjacielskich. Jeśli chodzi o moje literackie pozycje, wydałam dwa tomy wierszy, „Przez Śląskie Okno" w r. 1937, oraz „Myśli na Zwiady" w r. 1939 — z którymi dzisiaj trudno się spotkać, bo i to wojna pochłonęła, podobnie jak materiały do nowego wydawnictwa, które przepadły. W najbliższym czasie ukaże się „Tętno Śląska", w którym celowo zamieszczam parę utworów z tomu „Przez Śląskie Okno", przydając wiersze napisane ostatnio, które wyraźnie odzwierciedlają kierunek moich zainteresowań, zamierzeń i cel mojej pracy.

3) Kwestia naszego zagospodarowania się na Ziemiach Odzyskanych i najściślejszego związania ich z Polską, jest dla nas wszystkich sprawą najistotniejszą w swojej wadze, bo decydującą o unormowaniu siły i bytu całego Państwa i narodu. Zagospodarowana Polska — po Odrę i Nysę, z szerokim dostępem do morza — to zasadniczy postulat i program, którego realizatorem jest nie tylko Rząd polski, ale my, — l u d z i e — i tutejsi i napływowi. Na c z ł o w i e k u osiadłym i pracującym na Ziemiach Odzyskanych duża spoczywa o d p o w i e d z i a l n o ś ć. I zwłaszcza tu potrzebny jest najlepszy element polski, najwyższe natężenie sił dla odbudowy!

4) Nie jest to rzeczą ani łatwą, ani małą — wznieść z rumowiska od razu piękne i zasobne domostwo! To się rozumie samo przez się. Ziemie Odzyskane miały duży poziom cywilizacyjnych urządzeń gospodarczych. Konieczną jest rzeczą utrzymać ten poziom i rozwinąć. Tu wszelkie niedopatrzenia, uchybienia, czy nieudolność, skwapliwie wykorzystuje i wyolbrzymia (w sensie oczywiście dla nas ujemnym) czatująca, wroga propaganda.

Mimo, iż niezaprzeczalnie kwestia bytu materialnego jest czynnikiem ważnym, bo tyczącym podstaw egzystencji, to niemniej jednak czynnikiem zdecydowanie ważniejszym, są nasze siły kulturalne, nasza Postawa i Siła moralna I tu się narzuca same, wspomnienie tych błędów i krzywd, których się dopuściły nieobliczalne, aspołeczne, poszczególne jednostki, spieszące jak szakale na „Dziki Zachód" dla doraźnego zysku i grabieży! Nie ma potrzeby i nie należy chować tych faktów pod korcem, choćby z tej prostej a ważkiej przyczyny, by ci pokrzywdzeni ludzie wiedzieli, że uczciwe społeczeństwo polskie najsurowiej tych przestępców i szkodników dobrego polskiego imienia — potępia!

Długo i dobrze musimy pracować, by zatrzeć skutki tego zła, by skrzywienia sprostować, by naszym rzetelnym, sprawiedliwym uporządkowaniem spraw osiedleńczych i narodowościowych, wyrównywaniem zadrażnień między ludnością napływową a miejscową, ugruntować zaufanie — karygodnie nadszarpnięte przez świadomych czy nieświadomych szkodników! Dola i samopoczucie mieszkańców Ziem Odzyskanych, to dziś zagadnienie, frapujące nie tylko Rząd polski, ale cały naród. Trwałe powiązanie tych ziem z Polską nastąpi bezwątpienia przez ugruntowanie kultury polskiej w sercu i umyśle mieszkańca Ziemi Odzyskanej, przez otoczenie go naszą najczulszą, najtroskliwszą opieką, jak SYNA — który po długiej, długiej nieobecności — nie „marnotrawny!" — raczej często okaleczały i schorzały — wreszcie wrócił do swego domu ojczystego.

Listy z Polskiego Zachodu

Zapiski Olsztyńskie

Olsztyn, w listopadzie.

Problem ludności autochtonicznej mazurskiej, warmijskiej oraz z dolnego Powiśla jest stałą troską szeregu instytucji w Olsztynie, reprezentujących zarówno czynnik państwowy jak i społeczny. Problem ten jest zwłaszcza żywo roztrząsany na każdorazowym posiedzeniu Mazurskiej Woj. Rady Narodowej obradującej w Olsztynie. Jeśli tu i ówdzie widać jeszcze jakieś niedociągnięcia, zarówno ze strony czynnika państwowego jak i u ludności napływowej, to wynikiem tego jest przede wszystkim ogólna atmosfera rozpasania i sobiepaństwa poszczególnych jednostek piastujących stanowiska urzędowe względnie jest spowodowana w sporadycznych wypadkach niechęcią ludności napływowej z okolic Mławy czy Białegostoku do autochtonów, których ryczałtowo traktowano jako Niemców dlatego, że język ich jest zaprawiony licznymi germanizmami. Te niedociągnięcia jednak wyrównać może dopiero czas i z całą stanowczością musimy stwierdzić, że czasy „hurrapatriotyzmu" u poszczególnych jednostek przybyłych na teren warmijsko-mazurski już dawno minęły dzięki umiejętnej polityce wojewody olsztyńskiego dr. Z. Robla, którego bezpośrednimi doradcami w zakresie skomplikowanych zagadnień ludności autochtonicznej są przede wszyskim działacze mazurscy skupieni koło „Instytutu Mazurskiego" oraz w „Komisji Narodowościowej" Woj. Rady Narodowej.

Jak wiadomo w dn. 27 października 1946 roku odbył się w Olsztynie **Kongres Polaków-Autochtonów i Zjazd b. członków Związku Polaków w Niemczech z terenu Warmii, Mazur i Powiśla** pod protektoratem wojewody olsztyńskiego. Doniosłymi akcentami zjazdu była zarówno akademia w Teatrze im. St. Jaracza jak i odczyt prof. Hartleba z Torunia na Zamku, po którym odbyło się **odsłonięcie pomnika Mikołaja Kopernika.** Na zjeździe tym, oprócz dość licznej młodzieży warmijsko-mazurskiej, widzieć można było starych działaczy sprzed wojny, a zwłaszcza tych, którzy po różnych kolejach losu, jakie przeszli podczas wojny, wrócili na te ziemie, by pracować dla Polski. Starzy działacze mazurscy witali przeto z rozrzewnieniem swych znajomych, których dopiero teraz na wspólnym zjeździe zobaczyli znowu, po długich latach wojny i tułaczki, gdzie przyznanie się do polskości groziło drutami obozu koncentracyjnego.

Ostatni przeto zjazd autochtonów zaaktualizował znowu problem warmijsko-mazurski, nadając mu swoiste piętno, piętno inne, pomyślniejsze niż złowrogie odgłosy, jakie dochodziły nieraz z terenu. Nie znaczy to, aby naturalnie usunięte zostały wszystkie nieporozumienia i zadrażnienia. Pozostało jeszcze wiele do zrobienia. Ale mnożą się coraz więcej objawy wskazujące na dobrą wolę obu stron, t. zn. ludności autochtonicznej i napływowej, ku ułożeniu tak wzajemnych stosunków, aby naturalny proces zrastania się w jedno społeczeństwo jak najszybciej przyspieszyć, tych różnych elementów ludności mieszkającej na terenie Mazur, Warmii i Powiśla.

Drugim ważnym momentem był **manifestacyjny pogrzeb redaktora „Gazety Olsztyńskiej" Seweryna Pieniężnego i jego towarzyszy** zamordowanych w obozie koncentracyjnym pod Królewcem, pogrzeb odbył się przy współudziale władz państwowych i całego społeczeństwa. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w dniach poświęconych pamięci zmarłych przy niezwykle podniosłym nastroju wśród ludności autochtonicznej jak i ludności napływowej, która w wielu wypadkach zdala od swych grobów rodzinnych uczciła przez przybycie na cmentarz olsztyński pamięć tych, którzy walczyli w cichy ale tak wydatny sposób za Sprawę. Uroczystości żałobne zakończyła akademia w teatrze olsztyńskim, w czasie której Jan Boenigk, działacz warmijski, obecny dyrektor Uniwersytetu Ludowego w Morągu, żegnał w podniosłym nastroju bojowników warmijskich i mazurskich dzić już nieżyjących Po przemówieniu Jana Boenigka wojewoda w imieniu Rządu wręczał rodzinom poległych odznaczenia, zaś koncert muzyki poważnej zakończył tę uroczystość.

Niemniej ważnym momentem był zorganizowany przez Komisję Narodowościową Woj. Rady Narodowej **zjazd działaczy ziem warmijsko-mazurskich,** na który przybyło około 180 osób z terenu postulowanego. Na przewodniczącego zjazdu obrano autochtona posła do K. R. N. Korelewicz-Wilamowskiego, zaś do prezydium weszli znani działacze warmijsko-mazurscy jak: Sowa, Lejk, Zientarówna, Leyding oraz Malewski. Wygłoszono zasadniczo trzy referaty Pierwszy P. Sowy dotyczył dotychczasowej działalności Komitetu Narodowościowego W. R. N., drugi Zientarównej dotyczył całokształtu wysiłków działaczy warmijsko-mazurskich w odległej i bliższej przeszłości oraz obecnie. Referat posła Wilamowskiego dotyczył zadań ludności autochtonicznej w obecnej rzeczywistości polskiej. Bilans obrad zamknięto w 14 punktach, które miały w grubszych zarysach taką treść: Zjazd domaga się od wszystkich czynników **uszanowania praw ludności autochtonicznej** na terenie Warmii i Mazurów i rola ludności napływowej polega przede wszystkim na **wzmacnianiu elementu polskiego** wyczerpanego w walce z germanizacją oraz na **współdziałaniu w zrośnięciu** się kulturalnym i gospodarczym z Narodem i Państwem Polskim. W tym celu zjazd apeluje do czynników państwowych o umożliwienie powrotu tych wszystkich, którzy są jeszcze za Odrą, aby **mogli wrócić** i brać udział w twórczej odbudowie swej ojcowizny. Dlatego też zjazd domaga się o dopuszczenie do władzy i zawarowania należytego miejsca w urzędach państwowych i instytucjach życia zbiorowego dla autochtonów, jak i odpowiedniej reprezentacji w przyszłym Sejmie. Zjazd wyraża nadzieję, że decyzją władz państwowych w granice województwa olsztyńskiego zostaną zwrócone powiaty z dolnego Powiśla oraz trzy powiaty mazurskie na wschodzie włączone do województwa białostockiego. W powiatach tych ludność autochtoniczna **nie ma swych reprezentantów na większą skalę** w instytucjach życia zbiorowego, co powoduje wiele krzywd i nie potrzebnych zadrażnień. Ilość szkół jest nieodpowiednia a młodzież autochtoniczna odczuwa wyraźny brak na odcinku wychowania. Istniejące dwa Uniwersytety Ludowe w Pasymiu-Rudziskach oraz w Morągu **nie zaspakajają głodu wiedzy** i chęci powrotu na łono kultury polskiej. Te same braki daje się odczuwać w zakresie opieki społecznej w odniesieniu do dzieci i starców. Postulaty te pomogą do zatarcia różnic między ludnością autochtoniczną a ludnością napływową i przyczynią się do zaniku **pewnego upośledzenia,** jaki odczuwa ludność autochtoniczna w stosunku do ludności napływowej, która nie może brać udziału w czerpaniu obfitą dłonią w skarbach kultury polskiej z braku dostatecznej znajomości języka i kultury.

Jak z powyższego pobieżnego przeglądu widać ostatnie tygodnie w Olsztynie przyniosły wiele pozytywnego wkładu w proces scalania się ziem warmijsko-mazurkich z resztą ziem polskich dzięki umiejętnej polityce narodowościowej wypróbowanych działaczy warmijsko-mazurskich, skupionych koło władz państwowych w pracy społecznej i kulturalnej.

J. Antoniewicz

Z życia muzycznego Śląska

Okres ostatnich dwóch tygodni przyniósł nam dwie bardzo ciekawe a zarazem bardzo pouczające imprezy koncertowe. Pierwszą z nich — to występy Raula Koczalskiego, drugą zaś koncert symfoniczny Filharmonii Katowickiej z udziałem laureatki Międzynarodowego Konkursu Muzycznego w Genewie Ireny Lewińskiej.

Przyznam się, że zawsze, po wysłuchaniu koncertu poświęconego Chopinowi, odnosiłem wrażenie jakiegoś dziwnego niesmaku. Zawsze odczuwałem, że interpretacją jego dzieł robi się zmarłemu kompozytorowi duża krzywdę. Tak było do momentu, kiedy usłyszałem Koczalskiego. On pierwszy podał Chopina w wykonaniu zdrowym. On pierwszy pokazał, że Chopin był nie tylko zniewieściałym sentymentalistą, nie tylko erudytą fortepianowym — lecz, że był także człowiekiem silnym, zdrowym, wiedzącym czego chce i dokąd dąży. Koczalski przeprowadził w swojej interpretacji uklasycznienie Chopina, nawiązując w wielu momentach do techniki niemal mozartowskiej. W istocie: nad Chopinem nie trzeba się rozmarzać, nie trzeba padać w samozachwycenie, nie trzeba cierpieć publicznie. Wiem — że jesteśmy skłonni do takich rozważań — ale nauka poglądowa Koczalskiego niechaj nie idzie w las; nauczmy się rozważania spokojnego... nawet przy wykonywaniu Chopina. Jak dalece jednak łatwo popaść w owo rozprężenie wewnętrzne przy tego rodzaju repertuarze świadczy choćby to, że nawet człowiek o tak zdrowym podejściu jak Koczalski — nie potrafi się miejscami wyzbyć szopenowskiej maniery grania każdą ręką osobno...

Umyślnie potraktowałem krytykę tego koncertu właśnie ze stanowiska dydaktycznego, gdyż jestem zdania, że najlepiej właśnie na koncertach nauczyć się można oceny zarówno kompozytora wykonywanego, jak i stosunku samego siebie do słyszanego utworu.

Występ Ireny Lewińskiej po powrocie jej z Genewy był dla świata artystycznego nielada atrakcją. Nie wszyscy może doceniamy w należyty sposób fakt otrzymania nagrody na turnieju międzynarodowym w którym brały udział przecież najpoważniejsze siły artystyczne Europy powojennej. Nie pomyliłem się, kiedy półtora roku temu pisałem o Lewińskiej, że jest śpiewaczką o dużej kulturze artystycznej i doskonale opanowanej technice wokalnej. Fakt, że nie zawiodła pokładanych w niej nadziei, bynajmniej nie zwalnia mnie od słów krytyki, ale krytyki życzliwej.

Lewińska jest śpiewaczką, która interpretuje odtwarzaną muzykę w sposób obiektywny, w sposób bezwzględny. Ma to swoje dobre i złe strony. Dobre to to, że jakie by nie były jej dyspozycje subiektywne, wykona ona swój repertuar zawsze poprawnie, starannie — zawsze wykończy każdą frazę i zawsze będzie w najzupełniejszym porządku. Lewińska w tym sensie przedstawiła nam solidną robotę, która raz przeprowadzona konsekwentnie będzie prowadzona w tym samym duchu aż do końca. Ale spójrzmy na to z innej strony. Czy nie należałoby dodać do tej solidnej pracy jeszcze coś z siebie... coś z przeżycia... Czy nie należałoby głosowi nadać więcej ciepła, żeby przemówił przez niego człowiek, a nie wykonawca? Szkoda że Lewińska pokazała nam tylko jednostronnie swoje możliwości w Mozarcie, podczas kiedy skądinąd wiemy, że repertuar jej zawiera utwory Debussyiego, Ravela, Szumana, Szymanowskiego i wielu innych kompozytorów o skrajnie różnym charakterze. Może wtedy uwagi moje o obiektywizmie wykonawczym byłyby w ogóle zbędne.

Ryszard Bukowski.

U k a z a ł s i ę nr 46 (52) katolickiego tygodnika społecznego **„DZIŚ I JUTRO"** zwiększony i poświęcony rocznemu jubileuszowi wydawnictwa. — Zawiera m. in. artykuły: Ks. prof. E. Dąbrowskiego „Przebyta droga"; B. Piaseckiego „Walka o odpowiedzialność"; J. Dobraczyńskiego „Na marginesie łódzkiej dyskusji"; W. Kętrzyńskiego „Od brzasku do nocy"; E. Paukszty „Więź wiary"; K. Pytla „Problemy gospodarcze" i innych oraz s t a ł e działy „Szeroki horyzont", kronikę polityczną, „W kraju" i „W świecie", „Na marginesie", „Gadu-gadu".

Sprawy teatru

Drugi sukces Fredry

Aleksander Fredro: Pan Jowialski, komedia w czterech aktach, inscenizacja i reżyseria Henryka Szletyńskiego, dekoracje i kostiumy Wiesława Makojnika, asystent reżysera E. Makojnikowa — premiera 16. XI. na dużej scenie Teatru Państwowego imienia St. Wyspiańskiego w Katowicach.

Fredrze dobrze się w Katowicach po wojnie powodzi. Mamy jeszcze w pamięci wystawioną przez Horzycę i Adwentowicza w kwietniu 1945 roku „Zemstę", pierwsze przedstawienie wskrzeszonego teatru katowickiego z godną zapamiętania kreacją Adwentowicza w roli Cześnika i dobrym Milczkiem Kwaskowskiego. Na Małej Scenie nie zeszła jeszcze z afisza inna jego komedia, „Mąż i żona", którą zaliczyć trzeba do najlepszych powojennych przedstawień teatru katowickiego. Obecnie pojawia się „Pan Jowialski" który chyba też dłuższy czas pobawi publiczność.

Mówiąc o drugim sukcesie Fredry, nie mam zamiaru używać superlatywów, jakimi określałem realizację sceniczną „Męża i żony". W pierwszym wypadku tryumfował Fredro wespół z reżyserem, inscenizatorem, autorem intermezzów i artystami, razem z teatrem. W „Panu Jowialskim" więcej jest sukcesu samego Fredry, stosunkowo mniej sukcesu teatru, który go wystawił. Nie łatwo jest rozstrzygnąć, która z tych dwóch komedii jest trudniejsza do zagrania. Trudne pod tym względem są obydwie. Jeśli w „Mężu i żonie" sceniczna interpretacja tekstu stawia wysokie wymagania reżyserowi i aktorom, to w „Panu Jowialskim" główne trudności leżą w należytym postawieniu poszczególnych, wybitnie charakterystycznych, karykaturalnie zarysowanych postaci. Jest więc łatwiej zestawić dobry czteroosobowy komplet do „Męża i żony" niż dobrać odpowiednio galerię typów do „Pana Jowialskiego".

Obydwie grane w tym sezonie komedie Fredry należą do rzędu tych jego utworów, wokół których w różnych czasach toczyły się dyskusje, a nawet namiętne spory. I tu i tam chodziło o to samo. O tzw. ideę, o tendencję autora. Czy tylko komedia, czy także biczująca satyra, chęć wytykania błędów, moralizowania? Nad dylematem tym możemy dzisiaj przejść do porządku, pozostawić go historykom literatury i ich uczniom, przy czym, jeśli go podejmą, miałbym ochotę im współczuć. Nie ulega w każdym razie wątpliwości, że nad kwestią tą przechodzi do porządku współczesny widz, który po prostu patrzy na te komedie z najbardziej właściwego punktu widzenia, jako na dzieła wielkiego artysty, świetnego pisarza scenicznego i mądrego człowieka. Taki czy inny uczony komentarz, który chcielibyśmy do nich przyczepić, utrudniłby nam tylko bezpośredni kontakt z Fredrą i jego sztuką. One go nie potrzebują. Są chyba tak samo żywe i równie zabawne, jak wtedy gdy grano je po raz pierwszy. Warstewka patyny jest na nich cienka i delikatna. Rzecz prosta, że niejeden chwyt komediowy Fredry wyda nam się dzisiaj naiwny i ograny. Fredro brał je z poprzedzającej go komedii francuskiej i włoskiej, uzupełniał, rozwijał i zmieniał, a od niego brali je przez sto lat nasi komediopisarze. Ale autorowi „Pana Jowialskiego" jakoś to nie szkodzi, tym bardziej, jeśli chwyty tego rodzaju zostaną dobrze i właściwie wygrane. Patrzymy na nie z niezmienną sympatią, nawet wtedy, gdy autor dla znalezienia wyjścia z powikłań intrygi i dla happy endu (tak się to teraz nazywa) posługuje się myszką na łopatce Ludomira.

Stosunek przeciętnego widza do dawnego repertuaru jest u nas raczej niechętny. Wielkie pozycje tego repertuaru jeszcze część widzów pójdzie oglądnąć dla zwyczaju i dla honoru domu. Ale już i wśród tej części widzów znajdą się tacy, którzy krzywią się na starą komedię. Potrafimy chodzić po kilka i kilkanaście razy na tę samą operę. Mając przed sobą decyzję pójścia na jakąś znaną już sztukę, rozstrzygamy sprawę raczej negatywnie, jako że „to już znamy". Widza za mało jeszcze interesuje sam teatr, zespół środków artystycznych, które się nań składają i artystyczny rezultat ich współdziałania. Jeszcze ciągle szukamy wrażeń niemal wyłącznie w samej fabule sztuki, nie starając się na wydobycie ich z formy artystycznej, w jakiej ją teatr podaje. Na dobrą sztukę można chodzić tak samo latami po kilkanaście razy, jak na dobrą operę i można z niej zawsze wyjść z nowym i świeżym wrażeniem. Fredro jest tym autorem, na którym warto twierdzenie to sprawdzić. Komedie jego mają tyle uroku, tyle subtelnych drobiazgów, ktore łatwo zacierają się w pamięci, że nie szkodzi im przypominanie ich sobie nawet na przestrzeni krótkiego czasu zwłaszcza w tych wypadkach, gdy mamy równocześnie do czynienia z poważną pracą zespołu realizatorów.

Ta poważna praca w katowickim przedstawieniu „Pana Jowialskiego" jest i stanowi mocną stronę spektaklu. P. Szletyński, którego poznaliśmy jako reżysera i inscenizatora z okazj. „Antygony" i „Warszawianki", tutaj silniej podkreślił swój udział i inwencję. Przy realizacji tamtych dwóch utworów zgubił się, stał się literatem drobiazgowo i wnikliwie komentującym tekst, nie starczyło mu już energii na opracowanie strony aktorskiej spektaklu, na pracę ściśle sceniczną, reżyserską. Tutaj sam tekst już tak nie wciągał, nie absorbował go tak silnie i to wyszło przedstawieniu na dobre. W opracowaniu poszczególnych postaci i sytuacji znać już było wyraźnie czujność i myśl reżysera, który umiał na aktorów oddziałać przekonująco i pozyskać ich dla swoich koncepcji interpretacyjnych.

Nie udało mu się to może tylko w stosunku do samego Jowialskiego, w którego roli ujrzeliśmy Tadeusza Kondrata. Ale może to i wina niedociągnięć i braków w samym reżyserskim spojrzeniu na tę postać, która wypadła zwłaszcza w zestawieniu z innymi blado i mało frapująco. Sam Kondrat jakoś nie wierzył w swoją rolę i jakby nie wiedział, w jakim kierunku ma pójść jego artystyczny wysiłek. A może mu się już znudziły tego typu role, czemu po wyeksploatowaniu go w „Wieczorze Trzech Króli" i „Jak w bajce" nie należałoby się dziwić. Najciekawiej zaprezentowali się p. Tadeusz Surowa jako szambelan i p. Olga Bielska jako Helena. P. Surowa potwierdził raz jeszcze swoją opinię jednego z najzdolniejszych artystów naszego teatru. Grał z umiarem, inteligentnie, dał postać plastyczną, prawdziwie komiczną i rozbrajająco zabawną, opracował rolę starannie w najdrobniejszych szczegółach i jednolicie, bez cienia jakiejś maniery, bez nawyków, które przypominałyby jakąkolwiek z ról, w której mieliśmy go już sposobność oglądać. P. Bielska w mimice przypominała wprawdzie żywo Justysię z „Męża i żony", ale poza tym roli jej nic zarzucić nie można. Przeciwnie. Gdy w jednej ze starych recenzji „Pana Jowialskiego" przeczytałem u dobrego krytyka, że Zofia Lindorfówna dała Helenie „wszystko, co dać mogła, a więc — wdzięk i słodycz", doszedłem do przekonania, że tym razem zarówno reżyserowi jak i samej artystce można pogratulować interpretacji i wykonania. Helena była śmieszna, komiczna. Taką ją chyba widział sam Fredro i takie ujęcie tej postaci obala zarzut Lorentowicza, który widzi w Helenie pseudo-romantyczną lalkę, pozbawioną przez autora życia, złożoną z błahych uogólnień. Pseudo-romantyzm, romansowa egzaltacja tej postaci stała się tutaj źródłem prawdziwego komizmu, ukazała ją we właściwym świetle. To jest jedyne postawienie sprawy. Bo gdyby nam kazano patrzeć na Helenę poważnie, musielibyśmy stracić wiarę w możliwość zapowiadanej przez Ludomira przemiany w niej.

Na poziomie zagrali swoje role pozostali artyści: p. Stanisław Winczewski (Janusz), p. Eugenia Kwiatkiewicz (Pani Jowialska), p. Zdzisława Życzkowska (Szambelanowa), p. Olgierd Jacewicz (Ludomir) oraz p. Mieczysław Jasiecki (Wiktor). W ten sposób przedstawienie było wyrównane, na dobrym poziomie, co przy obiawach żywego zadowolenia ze strony publiczności każe przypuszczać, że utrzyma się na afiszu czas dłuższy. Dekoracje p. Wiesława Makojnika (wnętrze) zrobione były ze smakiem i robiły miłe wrażenie. Co do kostiumów można by mieć pewne zastrzeżenia. Na miejscu p. Bielskiej nie zgodziłbym się na taką suknię.

Podkreślić jeszcze należy ładnie pomyślany i zrobiony finał komedii, utrwalający w widzu sympatyczne wrażenie całości.

I jeszcze jedno. Jak doniósł „Przekrój" a czego zaniedbała zakomunikować dyrekcja prasie śląskiej, perukarz katowickiego teatru p. Tomasz Rzeszutko obchodzi 50-lecie swojej pracy w teatrze. Jubilatowi, którego pracę mieliśmy w Katowicach sposobność niejednokrotnie już podziwiać i dla której jesteśmy z należytym uznaniem, składamy przy tej okazji serdeczne życzenia.

Zdzisław Hierowski.

Z Teatrów Dolnośląskich

„Panna Maliczewska". Sztuka w 3 aktach Gabrieli Zapolskiej. Premiera we Wrocławiu 6.XI.1946.

Wrocław nie miał szczęścia do teatru dramatycznego. Jesienią 1945, gdy Opera i Filharmonia pracowały już „pełną parą", o teatrze dramatycznym ciągle się jeszcze tylko mówiło. Wreszcie z początkiem stycznia 1946 dyr. T. Trzciński, zdobywszy po wielkich trudnościach garstkę aktorów, otworzył sezon „Ślubami Panieńskimi". I od razu na „kiełkujący" teatr spadły jedna po drugiej katastrofy: choroby czołowych aktorów, brak mieszkań dla zespołu, niewypłacanie subwencji. Publiczność zrażona pierwszymi niepowodzeniami repertuarowymi, wolała nie wychodzić z domu wieczorami i nie ryzykować, wobec braku komunikacji, spacerów po ciemnych ulicach.

Dwie nieudałe prapremiery, kilka dobrze zrobionych lekkich komedii i pierwszy sezon się skończył.

Na sezon 1945/46 dyrekcję Teatrów Dolnośląskich (w skład których wszedł Miejski Teatr Wrocławski jako główna „baza operacyjna" dla teatru objazdowego, obejmującego swym zasięgiem Wałbrzych, Kamienigórę, Jelenią Górę, Świdnicę i inne przemysłowe miasta Dolnego Śląska) objął Jerzy Walden.

Wszelkie ew. niedowierzania i wątpliwości co do poziomu artystycznego nowego teatru rozwiała premiera „Panny Maliszewskiej". Po tym spektaklu możemy sobie spokojnie powiedzieć: Wrocław ma dobry teatr!

Panna Maliczewska jest najciekawiej zbudowaną sztuką Zapolskiej. Wzloty i upadki bohaterki następują tak szybko po sobie, załamania są tak nagłe, przy wielkiej oszczędności tekstu, że bardzo łatwo reżyser może przez podkreślenie pewnych sytuacji skrzywić linię sztuki, zamieniając ją w niedwuznaczne romansidło. Pomyłek tych uniknęła Leonia Jabłonkówna, inteligentnie zacierając jaskrawości dyskretnie rozwiązanymi sytuacjami.

Marian Godlewski stworzył świetnie uchwycony typ skostniałego w hipokryzji Dauma. Mimo mocno podkreślonej charakterystyczności postaci, nie odbiegał ani na chwilę od naturalności, — mocny w scenach wybuchów, konsekwentny i złośliwy, gdy panował nad sytuacją.

Anna Jakowska w tytułowej roli — bardzo przekonywująca w scenach załamania, dobra jako beztroska i wesoła dziewczynka, słabsza jako zmęczona i znudzona życiem aktorka. Braki techniczne nie pozwoliły młodej artystce utrzymać całej roli na jednakowym poziomie. W każdym jednak razie eksperyment z obsadzeniem prowadzącej roli przez początkującą aktorkę okazał się udany.

Irena Netto bardzo szczera jako Michasiowa, prosta kobiecina obdarzona wielką dozą chłopskiej chytrości. Natomiast Zofia Galicka zupełnie fałszywie postawiła postać Żelaznej. Zamiast „pyskatej" kumoszki, pokazała nam Matkę z „Niespodzianki", a nawet chwilami Balladynę.

Wykonawcy pozostałych ról poprawni. Feliks Dobrowolski jako c. k. sekwestrator zabawny.

Naturalistyczne dekoracje A. Jędrzejewskiego i W. Langego proste w rysunku i dobrze rozwiązane.

„Żołnierz Królowej Madagaskaru". Wesoła przygoda starowarszawska w 3 aktach (5 obrazach) ze śpiewami i tańcami podług St. Dobrzańskiego. Przeróbka J. Tuwima i T. Segietyńskiego. Premiera we Wrocławiu 14. listopada 1946.

Czy teatr we Wrocławiu powinien wystawiać podobną bzdurkę, jak ten pachnący myszką, odświeżany przez Tuwima wodewil? Pytanie to stawia sobie również i dyrekcja teatru w programie. Asekuruje się i usprawiedliwia i reżyser Jerzy Walden przez dodanie prologowej piosenki wiążącej (ładnym zresztą tekstem) rzeczywistość wrocławską z przeszłością starowarszawską.

W każdym razie wesoła bzdura wystawiona jest inteligentnie, utrzymana w stylu, wiele dowcipu zawiera w każdym pomyśle inscenizacyjnym, w każdym szczególe świetnych dekoracji (osobne słowa uznania należą się dekoratorom Jędrzejowskiemu i Langemu) i kostiumów. Rozdynamizowane dekoracje ruchliwość sceny, z humorem podkreślone kpiny z form operetkowych, tak w tańcu jak i w charakterystycznie wykonanych piosenkach, nadały staremu wodewilowi oryginalnego smaku. Kulminacyjną sceną przedstawienia jest finał drugiego aktu z doskonałym trickiem dwóch naprzeciw siebie siedzących i bijących brawo widowni: prawdziwej i namalowanej, między którymi miota się przerażony Mazurkiewicz w stroju Ubibangi.

Na czoło zespołu wybijała się muzykalna i obdarzona miłym, silnym głosem Maria Nochowicz w roli uroczej Kamilli. Wacław Zdanowicz jako mecenas Mazurkiewicz bardzo zabawny, jakby wycięty z groteskowego amerykańskiego filmu. Łucja Burzyńska doskonale wyprowadzała z równowagi całą rodzinę Mąckich jako swawolny, nieznośny Kazio. Należało się to zresztą paniom z rodu Mąckich, które w 2 odsłonie przesadują dy tynkcją, sztucznym artykułowaniem i przeciąganiem wyrazów irytująco rozwlekały tempo bezpretensjonalnej sztuki.

Bardzo stylowym „bon vivant" był Marian Nowicki. Jerzy Sobieraj dał kapitalny typ wytwornego kamerdynera.

Dowcipne i pomysłowe epizody stworzyli: Irena Netto jako garderobiana, Jerzy Walden jako Nikifor, Kazimierz Herba jako inspiojent i Janusz Tański jako „szykowiec radomski".

Akompaniowała dobrze brzmiąca orkiestra pod dyrekcją Stefana Syryłły. Tańce układu Z. Patkowskiego urozmaicone i utrzymane w stylu.

Wojciech Dzieduszycki

„Carmen" w Katowicach

„Opera Śląska" wystawiła „Carmen". Dekoracje i kostiumy projektował St. Jarocki, kapelmistrzem był J. Sillich, reż. A. Popławski, nowe tańce układu St. Miszczyka. Na zdjęciu scena z aktu I.

Tydzień Katowic

14. XI. — 20. XI. 46

ŻYCIE LITERACKIE

Ukazał się w sprzedaży 4-ty z rzędu **Arkusz Śląski**, wydany przez tutejszy oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich. Arkusz zawiera dialog dramatyczny (wykonany już uprzednio — 13. V. 1945 — jako pierwsze oryginalne słuchowisko radiowe po odzyskaniu Niepodległości, przed mikrofonem Śląskiej Rozgłośni Polskiego Radia) Edmunda Osmańczyka pt. Hans Schneider. Nowy zeszyt wydawnictwa opracował Zdzisław Hierowski.

18. XI. odbył się VIII Wieczór Klubu Literackiego. W ramach zaimprowizowanego (na skutek nieprzybycia prelegenta z Łodzi) wieczoru wystąpili z krótkimi prelekcjami, lub recytacją własnych utworów: Barbara Guttmejerówna, Felicja Kisielińska, Ryszard Bukowski, Mieczysław Markowski, Tadeusz Staich i Aleksander Widera.

TEATR

16. XI. Państwowy Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego w Katowicach wystąpił z premierą komedii Fredry pt. „Pan Jowialski". Główne role kreują: E. Kwiatkiewicz, Z. Życzkowska, O. Bielska, T. Kondrat, T. Surowa, St. Winczewski, O. Jacewicz i M. Jasiecki. Reżyserował H. Szletyński. Dekoracje W. Makojnik. Wszystkie do tej pory ogłoszone recenzje daleko odbiegają poziomem od tego dobrego spektaklu.

IMPREZY TEATRÓW PRZYJEZDNYCH

Począwszy od dnia 14. XI. Katowice gościły przez kilka dni objazdowy zespół warszawskiego teatru „Problemy". Wystawiono nową sztukę Marii Morozowicz-Szczepkowskiej pt. „Powroty". Spektakly odbywały się w Teatrze TUR.

ŻYCIE MUZYCZNE

15. XI. odbył się koncert symfoniczny orkiestry Filharmonii Państwowej. Dyrygował Witold Krzemiński. Solistką była laureatka konkursu genewskiego. Irena Lewińska (śpiew).

Orkiestra wykonała uwerturę do opery „Tytus" Mozarta, symfonię nr. 3 a-moll, op. 56 F. Mendelssohn'a-Bartholdy'ego. Irena Lewińska z towarzyszeniem orkiestry odśpiewała arie i pieśni Mozarta (na bis) Szymanowskiego.

IMPREZY RÓŻNE

16. XI. Na Małej Scenie Teatru Śląskiego odbył się „Mecz satyryczny" z udziałem B. Brzezińskiego, J. Nachta, M. Samozwańca i W. Zechentera. Poziom „Kocyndra".

17. XI. w kawiarni „Astoria" odbył się „Podwieczorek przy mikrofonie", urządzony przez RTPD. W „Podwieczorku" udział wzięli: Maria Życzkowska (recytacje i śpiew) oraz orkiestra Wopaleńskiego. Zapowiadał, wespół z J. Nachtem, Aleksander Baumgardten.

Glossy i notatki

Poranki literackie Związku Literatów

Katowicki Oddział Związku Zaw. Literatów Polskich zapoczątkował szeroko zakrojoną akcję organizowania poranków literackich dla młodzieży szkół średnich i dla świata pracy zorganizowanego w Związkach Zawodowych. Członkowie Związku opracowali kilka godzinnych audycji, poświęconych literaturze współczesnej i jeżdżą z nimi do liceów, gimnazjów i świetlic związkowych. Audycje te poświęcone są poezji wojennej, poezji śląskiej, współczesnej powieści polskiej, Władysławowi Broniewskiemu, G. Morcinkowi itd. Zapoczątkowana w listopadzie akcja objęła już kilkanaście szkół średnich na Śląsku (m. in. i na Śląsku Opolskim), a w grudniu rozpoczyna się cykl tego rodzaju imprez w świetlicach Zw. Zaw. Metalowców, który dotychczas zamówił poranki w 14-tu świetlicach w różnych miejscowościach Śląska. W ten sposób Zw. Literatów pozostawia nieliczną i kapryśną publiczność katowicką opiece Klubu Literackiego, a sam idzie w teren do młodzieży i robotników, stawiając sobie za cel budzenie zainteresowań literackich i zamiłowania do literatury, wychowywanie piśmiennictwu polskiemu nowego czytelnika. **(ki)**

Wśród czasopism

Już chyba czas na tzw. pokłosie łódzkiego zjazdu literatów. Wprawdzie tajemnicze i powściągliwe milczenie zachowało na ten temat dotychczas (do nr 46) reprezentacyjne pismo literackie „Odrodzenie", dla którego obrady literatów dotąd jakby nie istniały. Tymczasem jego łódzki konkurent, „KUŹNICA" wydała aż numer specjalny. Cechą charakterystyną tego numeru jest to, że omówienie zjazdu powierzono z całym zaufaniem dwum czołowym wesołkom-felietonistom ze „Szpilek", mianowicie **Pawłowi Herzowi i Janowi Rojewskiemu.** Można i tak, choć nie spodziewaliśmy się tego po wielce poważnym ustosunkowaniu się zespołu „Kuźnicy" do zjazdu w czasie toczących się obrad, po żarliwości i temperamencie, z jakim rwali się do głosu i z jakim formułowali swoje tezy. Hertz w artykule wstępnym pt. „Dwa sojusze" tym razem usiłował być poważny. Wypadło to jednak niepoważnie, bo laury rozdzielił pomiędzy naczelnego redaktor „Kuźnicy" Żółkiewskiego i przedstawiciela Centralnej Komisji Związków Zawodowych Sokorskiego, pozostawiając jeszcze jeden listek bobkowy dla Jerzego Zagórskiego, jako szermierza „konsensu", a wszystkich innych referentów i dyskutantów spraw ideowych nazwał przedstawicielami obozu, „przymykającego oczy na rzeczywistość, celowo utrzymującego się w negacji i absenteizmie, propagującego artystyczną łatwiznę i ideologiczne mętniactwo". Jak wynika z dalszych wywodów, określenia te dotyczą według autora felietonów „Z naszej loży" autorki „Nocy i dni" Marii Dąbrowskiej oraz autora „Zarazy w Grenadzie" i „Na gruzach Grenady" Jana Nepomucena Millera. Za cóż to łódzki humorysta tak gromi tych pisarzy? Za swoją interpretację przemówień przez nich wygłoszonych i za swoje sugestie (określenie delikatne), które usiłuje przemówieniom tym podsunąć. Tak się właśnie wybrał p. Hertz, że musiał w imię swego marksistowskiego światopoglądu i pełen poczucia siły, jakie daje mu jego własna twórczość, zaatakować pisarzy par exellence społecznych, głosicieli poglądów o społecznej roli pisarza, ludzi, którzy mieli odwagę zachować tę samą godność i tę samą niezależność sądów, jaka cechowała ich zawsze przed wojną. Miller wystąpił właśnie przeciwko mętniactwu różnych nowatorów literackich i doktrynerskich reformatorów, rzucając postulat oparcia literatury w tym przejściowym, rewolucyjnym okresie o formy już wypracowane, do pewnego stopnia konwencjonalne, ale przyswojone sobie przez ogół i tym samym dostępne szerokim masom. Referat jego miał dwie słabe strony: barokowy styl, który stanowi zresztą charakterystyczną cechę tego pełnego temperamentu pisarza, i pewne uproszczenie zagadnienia przez pominięcie kwestii, że nowotarstwo literackie, poszukiwanie nowych dróg i form nie wyklucza istnienia literatury „konwencjonalnej", że istnieć powinno i musi, by dokonywał się postęp. A stwierdził fakt najoczywistszy, że nie mamy w dostatecznej ilości średniej klasy pisarskiej, że za mało jest u nas tych pisarzy, którzy bazowaliby na osiągniętych już zdobyczach, posługiwali się przyjętymi już formami, tworząc piśmiennictwo łatwe do przyjęcia przez nowego, nieprzygotowanego czytelnika, dla którego „szczyty" literatury są jeszcze trudne do osiągnięcia i który wskutek tego wymyka się z zasięgu oddziaływania pisarzy. Ale tego p. Hertz nie rozumie i nazywa to z oburzeniem propagowaniem artystycznej łatwizny, której on przez swą twórczość jest zdecydowanym przeciwnikiem. Wystąpienia Millera i Dąbrowskiej określił p. Hertz po prostu jako polityczne w duchu „peesełowskim", które to określenie naturalnie całkowicie je dyskwalifikuje. Natomiast z wielkim uznaniem p. Hertza spotkało się nie tylko jedno i drugie (to było już demagogiczne i wiecowej przemówienie Stefana Żółkiewskiego, ale również jego niekoniecznie ładna metoda, polegająca na tym, że zająwszy wygodną pozycję pozwalającą mu na obserwację całej sali, pilnie śledził, kto bije brawo w tych momentach repliki Marii Dąbrowskiej na jego referat, które nie szły po jego linii. A potem „napietnował" tych, którzy nie szczędzili oklasków świetnej pisarce. Jeszcze bardziej bezceremonialnie poczyna sobie p. Jan Rojewski w artykule „Who ist who?" Ten artykuł ma przynajmniej tę zaletę, że jest w wielu miejscach dowcipny i często trafny w swej satyrze. Naturalnie ta satyra przeważnie oszczędza kolegów ideowych, a zwraca się przeciwko ich przeciwnikom. Obficie ilustrowany karykaturami Zaruby reportaż Rojewskiego byłby jeszcze dowcipniejszy, gdyby i ten wesoły felietonista nie stawał w szranki ideowej polemiki. Bo wtedy staje się już sam śmieszny i w ten sposób uzupełnia galerię skarykaturowanych przez siebie postaci. Cenną zaletą zjazdowego numeru „Kuźnicy" są teksty wygłoszonych na zjeździe przemówień: Włodzimierza Sokorskiego „O demokratyczną kulturę narodową", Jerzego Zagórskiego „O lekkomyślności", Jana Brzechwy „O sytuacji zawodowej pisarzy" oraz mów powitalnych — wiceprez. m. Łodzi Ajnenkiela i wicemin. Leona Kruczkowskiego. Gdyby nie harce p. Hertza i polemiki p. Rojewskiego ten numer „Kuźnicy" byłby wspaniałym dokumentem łódzkiego zjazdu, jego pięknym pamiętnikiem.

Stefan Kisielewski w „TYGODNIKU POWSZECHNYM" w artykule „O zjeździe pegazów i „turystów ducha" (nr. 46) daje relację o zjeździe co najmniej tak dowcipną i ciętą jak Rojewski, lecz z ostrzem satyry skierowanym w przeciwnym kierunku, głównie w Żółkiewskiego. Przy tym przeważa w sprawozdaniu Kisielewskiego rzeczowa i szeroko motywowana polemika. W ten sposób artykuły „Kuźnicy" i „Tygodnika Powszechnego" stanowią dalszy ciąg pojedynku ideowego Żółkiewski contra Dąbrowska. Wysunięcie do dalszych zapasów dwóch humorystów osłabiło pozycję grupy lewicowej, to też Kisielewski góruje wyraźnie, dając doskonałą charakterystykę przemówień obu stron i polemizujących pisarzy. Żółkiewskiego charakteryzuje jako fideistę, utopistę i marzyciela, który niczego pozytywnego poza marksizmem nie widzi, a często podejmuje walkę z wiatrakami. Prawdy głoszone przez Dąbrowską określa Kisielewski, jako „znane nam wszystkim i bliskie, w atmosferze których wychowaliśmy się i ukształtowali, ale których dawno nie słyszeliśmy wypowiedzianych w tak jasnej i bezkompromisowej formie". Tej bezkompromisowości wypowiedzi Dąbrowskiej przypisuje Kisielewski fakt, że oklaski, jakie otrzymała po przemówieniu swoim, były mniej liczne od tych, którymi ją witano. Bo zjazd szedł wyraźnie po linii kompromisu, który wyraził się najpełniej w wyborach nowego Zarządu. Kisielewski nazywa ten wybór „machiawelsko-salomonowym" (świeczka i ogarek). Hertz określił go jako sojusz radykalnych katolików z lewicą robotniczą. Żukrowski stwierdził, że wyboru dokonano „za busolą rozsądku". Faktem jest, że bezkompromisowa grupa warszawska, złożona z przedstawicieli dwutygodnika „Warszawa" i „Gazety ludowej" nie zdołała przeforsować swojej linii postępowania. Wśród delegatów przewaga elementów antymarksistowskich, lecz postępowych była tak silna, że dokonany wybór należy uważać za istotnie przejaw dużego umiaru i rozsądku, tego umiaru, którego nie wykazywał Żółkiewski, a równocześnie za gest zgody i porozumienia w stosunku do lewicy robotniczej. Jakkolwiek chciałby to ktoś nazwać, fakt ten należy ocenić całkowicie pozytywnie. Warto przy tej okazji wspomnieć, że taki sam układ sił ideowych, jaki panował na zjeździe łódzkim trwał i rozwijał się harmonijnie do niedawna w katowickim Oddziale Związku Literatów, taki istnieje jeszcze w Krakowie. Ale w Katowicach część lewicy zerwała organizacyjny sojusz i współpracę, nie poparta nawet przez grupę literatów spod znaku PPS. W skali ogólnopolskiej obustronny umiar i rozsądek pozwolił literatom na uniknięcie tej szkodliwej i nienormalnej sytuacji.

Nie można nie wspomnieć tutaj o sprawozdaniu, jakie dało po zjeździe warszawskie **„Dziś i Jutro"**. W tonie i duchu solidaryzuje się ono z późniejszym sprawozdaniem Kisielewskiego, a główną uwagę skupia na referacie Brzechwy, poświęconym sprawom zawodowym. Były to zresztą sprawy, wobec których stanowisko całego zjazdu było wybitnie jednolite. Tu prawica oklaskiwała lewicę i na odwrót. Natomiast spór ideowy zasadniczo krótki i który przeminął nad zjazdem jak błyskawica, wykazał dużą rozpiętość zapatrywań. W tej rozpiętości w znacznej mierze chodziło nie o zasady, będące podwaliną współczesnej rzeczywistości w Polsce, lecz raczej o metody ich realizacji. Najbardziej drażliwym punktem sporu była kwestia, gdzie leży prawda. Ten spór nie został rozstrzygnięty. I nie rozstrzygnęła go pozjazdowa dyskusja w pismach. Wyszedłem na rynek, kupiłem sobie wszystkie pisma dyskutujące ten problem i dalej nie wiem, gdzie mieszka prawda. A może jednak posłuchać św. Augustyna?

Tymczasem na Śląsku mamy nowe pismo. Jest to organ Związku Weteranów Powstań Śląskich „Ogniwa", tygodnik społeczno-polityczny o silnych zainteresowaniach sprawami literatury i kultury w ogóle. Pismo ma charakter popularny, a nakład wskazuje, że sięga poza szeregi weteranów powstańczych i staje się pismem ogólno-śląskim. Takie ambicje zresztą ma redakcja, to widać z wypowiedzi **płk. Jerzego Ziętka** i innych publicystów „Ogniw". Pismo chce reprezentować postawę Śląska wobec wydarzeń i przemian, które przeżywamy. Ruszyło do pracy bez większych przygotowań, stąd dotychczasowe numery nie są jeszcze całkowicie miarodajne do jego oceny. Widać jednak, że „rozkręca się" z każdym numerem, że zapowiada się jako trwała i ciekawa pozycja w czasopiśmiennictwie na Śląsku.

Artur Marya Swinarski nie zapomina o Śląsku. Nie omija żadnej okazji, by przypiąć komuś i czemuś łatkę lub pochwalić czasem w sposób zupełnie nieoczekiwany. Specjalnie interesuje go zawsze teatr. To też **w „Dzienniku Polskim"** (nr. 315) chwali teatr katowicki i opolski, a z Sosnowca donosi że „w przygotowaniu sensacja: „Kordian" z naczelnikiem Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Katowicach w roli tytułowej... Natomiast wiadomość, że papieża w tym przedstawieniu grać będzie popularny wojewoda Arka Bożek, okazała się plotka..." Zajmuje się też recenzjami teatralnymi niektórych pism śląskich, a jak wiemy ma o nich wyrobione i niezłomne zdanie. Tym razem analizuje niefortunne recenzje Jana Brzozy, który np. będąc podobno zastępcą kierownika literackiego w teatrze katowickim, pisuje równocześnie recenzje ze spektaklów tego teatru. Po przytoczeniu kilku wesołych i niegramatycznych urywków z wywodów tego recenzenta konkluduje: „Jeszcze Ślązacy pod wpływem lektury Jana Brzozy zaczną mówić źle po polsku. Więc czemu Brzoza pisze zamiast czytać gramatykę?". **(ki)**

Co robią Niemcy

Wiemy, ile hałasu narobiła w Niemczech sprawa wyjazdu do Rosji niemieckich sił fachowych. Reakcja niemiecka na tę sprawę, ubrana w wiele plotek i niebezpiecznych politycznych aluzji, była nieprzemyślana i wywołała wśród rosyjskich władz okupacyjnych jak najgorsze wrażenie. Stała się ona nawet **powodem do zmiany kursu w stosunku do Niemców.** Ostatnio prasa niemiecka, po gorzkich doświadczeniachh minionych tygodni mniej się już zajmuje tą sprawą. Bo pogłosem jej można już tylko nazwać komunikat, jaki ukazał się w gazetach sowieckiej strefy okupacyjnej. Oto jego treść:

W celu wyjaśnienia sprawy odjazdu niemieckich fachowców do Rosji, przewodniczący berlińskich Związków Zawodowych, Chwalek udał się do komendy rosyjskiej. Odpowiedziano mu, że w ostatnich dniach rzeczywiście udały się do Rosji pewne grupy niemieckich inżynierów i techników na podstawie umów z sowieckimi przedsiębiorstwami przemysłowymi. Wielu z nich wyjechało do Rosji razem z rodzinami. Wszyscy byli dostatecznie zaopatrzeni w żywność. Każda osoba otrzymała jedno miejsce w wagonie osobowym i specjalny wagon towarowy dla rzeczy osobistych. Na pytanie pana Chwalka, do jakich prac przeznaczeni są owi fachowcy, odpowiedziano, że skierowani zostaną natychmiast do robót odpowiadających ich zawodom. Chwalek postawił jeszcze pytanie, czy niemieckie związki zawodowe będą później miały możność zapoznania się z warunkami pracy wyjeżdżających do Rosji. Odpowiedziano mu, że możliwość ta nie będzie wykluczona.

Tyle komunikat. Nie wpłynie on uspokajająco na Niemców i nie zgasi antysowieckiej propagandy, szalejącej szczególnie w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec. Tymczasem prasa w sektorze sowieckim dalej ogłasza pisma osób, decydujących się na dobrowolny wyjazd do Rosji, podczas gdy prasa w sektorze brytyjskim i amerykańskim pisma te uważa za sfałszowane. Jest rzeczą jasną, że **pewnym politykom zagranicznym nie chodzi o to, by bronić Niemców przed ewentualnymi deportacjami. Nie chodzi także o to tylko, by jedynie u Niemców wzbudzać nieufność do Rosji. Wszystko to jest jedynie małym fragmentem wielkich działań politycznych.** Zdaje sobie z tego doskonale sprawę sama Rosja, która kurs zmieniła nieznacznie tylko, by uchronić się przed doraźnymi skutkami skierowanej przeciwko niej propagandy.

Bagno niemieckie jest zdradzieckie. Niejeden w nim jeszcze utonie. Starają się o to także sami Niemcy. We wszystkich też sektorach wre gorączkowa praca, by osłabić przeciwnika, a samemu zbudować sobie mocny grunt.

A tymczasem Niemcy udają w dalszym ciągu niewiniątka, nie zainteresowane w sprawach wielkiej polityki, godzące się na łaskę zwycięzców, tęskniące jedynie do kultury i sztuki. Agresywne wystąpienia polityków niemieckich prasa niemiecka komentuje niechętnie, najchętniej zamieszcza je bez komentarzy, co jest niewątpliwie wymowniejsze. Raz udał się jednak taki kawał „Frankfurter Rundschau". Na pierwszej stronie skomentowała życzliwie oświadczenie Schumachera w sprawie wschodnich granic Niemiec, na trzeciej zaś uderzyła gromem w polityków niemieckich, którzy swymi wystąpieniami w sprawach granic osłabiają tylko zaufanie do narodu niemieckiego i zaprzeczają jego jedynej, tęsknocie za sztuką. Kawał polegał na tym, że **w Niemczech oba kierunki są polityczne i oba są lansowane. Zależnie od okoliczności.** Zestawione jednak na tak małej przestrzeni obok siebie oznaczają odkrywanie kart.

Kto by jednak myślał, że Niemcy interesują się jedynie sztuką dla sztuki, że stają się narodem pięknoduchów, egzaltowanych i w obejściu co najmniej sympatycznych, ten rozczaruje się bardzo, jeśli przestudiuje ostatnie wzmianki i artykuły w prasie niemieckiej z okazji 150-tej rocznicy urodzin poety niemieckiego, Augusta Grafa von Platena. Przypomniano Platena wyłącznie jako poetę politycznego. „Berliner Zeitung" pisze wprost, że „czcić możemy dziś nie Platena, subtelnego liryka i wytwornego balladzistę, lecz Platena bojownika politycznego, Platena proroka, wierzącego i wątpiącego na przemian w ojczyznę".

Ta sama gazeta przypomina też dwa krótkie eseje o Platenie pióra krytyka i historyka literatury Franza Mehringa oraz Tomasza Manna. Mann powiada na samym początku: Platen był poetą politycznym tak, jak tylko sobie poetę politycznego wyobrażał Heine. Mehring zaś stwierdza podobiznę: Platen był pierwszym politycznym poetą w literaturze niemieckiej. Mehring przypomina piękną strofę Platena:

Ty mowie chcesz postawić tamy,
Uwięzić pismo, słowo?
Darmo, bo żarem myśl rozbłyska,
Bachiczna myśl i nieśmiertelna
wybucha z ust na nowo.

W innych pismach czytamy: Poeta postępu, Platen, pogromca tyranii itp. Na poparcie ostatniego określenia przytoczono wiersz „Starzy Bonzowie". Jakkolwiek by było, rację ma „Spandauer Volksblatt", gdy napisał, że Platena można rozumieć rozmaicie, że niewątpliwie był bojownikiem o wolność, ale **że cytowane dziś jego wiersze cytowali także naziści, używając ich z równym skutkiem przeciwko własnym przeciwnikom ideowym.** Niebezpieczne jest zatem — według wspomnianego pisma — przypominać Platena w całej rozciągłości, bo któż ma gwarancję, że Niemcy jego nawoływań do wolności i walki przeciwko tyranii nie wezmą za aluzję do czasów dzisiejszych. **Szlachetni demokraci niemieccy** — pisze dalej ciekawe pismo — **widzą wolność dzisiaj a tyranię wczoraj, podczas gdy wielkie rzesze Niemców patrzą odwrotnie i widzą odwrotnie. Za wcześnie jest jeszcze na to, by naród niemiecki wychowywać i dokształcać ideowo na wzorach poetyckich,** kończy „Spandauer Volksblatt".

*

Skoro już jestem przy literaturze... Eckard Hauptmann, syn niedawno zmarłego pisarza Gerharda Hauptmanna, został przez komisję denazyfikacyjną w Dinkelsbuehl zaszeregowany do grupy biernych zwolenników hitleryzmu. Hauptmann należał do NSDAP w Amsterdamie, sprawując tam funkcję przewodniczącego Towarzystwa współpracy kulturalnej Niemiec i Holandii.

*

Dwie wiadomości z dziedziny muzyki:

Gabinet austriacki przyjął melodię pieśni Mozarta „Bracia dajcie dłoń do zgody", jako hymn narodowy. Równocześnie zwrócono się do kilkunastu znanych poetów austriackich i niemieckich z prośbą o napisanie słów do melodii.

Druga wiadomość jest prawie sensacyjna. Pojawiają się na widowni dobroduszni Amerykanie i sprytny Niemiec. **Norbert Schultze był twórcą znanej melodii, drugiego hymnu narodowego Niemiec, „Bomben auf Engelland".** Pamiętamy wszyscy, że pieśnią tą sławiono wszystkie początkowe zwycięstwa na Zachodzie, że śpiewano ją przed przemówieniami Hitlera. Norbert Schultze skomponował więcej takich, bojowych piosenek, których musieli się uczyć rekruci na dziedzińcach koszarowych, które śpiewały dzieci w szkole i „posłowie" w Reichstagu. **Dziś Norbert Schultze komponuje marsze dla jednostek... amerykańskich.** Pracuje w amerykańskim sektorze Berlina jako ogrodnik na plantacji warzyw, udziela żołnierzom amerykańskim nauki na fortepianie i niedawno skomponował marsz dla batalionu amerykańskiej żandarmerii wojskowej. Prasa niemiecka podając ten fakt przypomina, że Norbert Schultze znajduje się na czarnej liście przywódców i gorliwszych współpracowników hitlerowskich.

*

I wreszcie wiadomość z dziedziny gospodarczej.

Podczas gdy u nas od roku już przeszło odbywają się ustawiczne konferencje w sprawie Odry, a rzeka wciąż jest niewykorzystana, podczas gdy krytykowanie takiego stanu uważane jest za niewłaściwe co najmniej, bo „mądre głowy nad tym radzą". Niech sobie radzą, bo Niemcy przestali już radzić, a zabrali się do roboty. **We Frankfurcie nad Odrą zawiązało się kilka towarzystw eksploatacji Odry, do tej samej roboty wziął się także burmistrz Frankfurta. Dwa statki pasażerskie, które leżały dotąd na dnie rzeki, doprowadza się do porządku i w najbliższym czasie po polskiej Odrze na południe do ujścia Nysy łużyckiej i na północ pod Szczecin kursować będą statki niemieckie.** Nie to jest jednak najważniejsze. Najważniejsza jest wiadomość, że aby odciążyć komunikację lądową, już od Nowego Roku popłyną Odrą towary niemieckie.

Odra jest rzeką graniczną. To też stan ten jest nieunikniony. Nieuniknione też będą komplikacje, natury politycznej i gospodarczej, wynikające z faktu istnienia niemieckiej żeglugi na Odrze. Czy nad tym problemem zastanawiali się już nasi specjaliści od żeglugi na Odrze? **wisz.**

Ekran

Trudno wypowiedzieć więcej pochwał, niż się cisną pod pióro przy ocenie francuskiego filmu: „Ulica złoczyńców". A jednak druga część tego wspaniałego widowiska zawiera w sobie jeszcze więcej uroków, smuteczków i subtelnych dotknięć genialnej ręki reżysera Marcela Carné, niż pierwsza. Ta druga część nosi tytuł: „Romans pajaca" i podbija nam serca bez reszty. W czym tedy leży sens tego walnego zwycięstwa kina, obrazu, nad krytycznym widzem — jaka siła zgina nas przed drapieżnym majestatem wielkiego poety ekranu? — To — prostota, niesłychanie bezpośrednia prostota, jaka bije z ekranu wprost w niedowierzajace oczy i sceptyczne uśmiechy krytyków. Siedziało nas na sali kinowej niewielu, wszyscy — wygi filmowe, otrzaskane z rozmaitymi trickami i gag'ami srebrnego, jak to się mówi, ekranu. A kiedy film o pajacu dobiegł do końca, nikt się przez dłuższy czas nie ruszył z miejsca. Byliśmy pobici. Potem ruszyliśmy ku wyjściu. W ciszy. Szanowaliśmy wzajemnie swoje milczenie i milczeliśmy na ten sam temat. Jakże wiele bowiem z naszych nie uświadomionych tęsknot, z naszych niedopełnionych przeżyć pozostało za nami, na tej zaczarowanej płaszczyźnie, która jeszcze parę minut temu żyła przed naszymi oczami dzika i nieujarzmiona, jak dzikim i nieujarzmionym jest żywot człowieczy. Nie tak łatwo bowiem jest przeżywać samego siebie na jawie i nie może się to dziać bezkarnie.

Jakże nieubłaganą była ta ręka, wyciągająca za włosy nasze najbardziej skryte, najbardziej oporne wspomnienia, zawiłości i problemy. Jak niechętnie, niemal z podełba patrzyliśmy w to piekielne lustro, podstawione przed naszymi twarzami, oko w oko. Czuliśmy się niemal nadzy.

Podglądnąć człowieka nie trudno. Trudniej jest natomiast podglądnięte pokazać. I niech nikt mi nie mówi, że to aktor, że talent, że kreacja. Nieprawda! — To — robota. Świadoma, żelazo-betonowa konstrukcja scen, dialogów, gierek i odcieni, bez odrobiny improwizacji, bez cienia histerii, mimo, że wygląda cały obraz na dzieło neurastenika. To ostatnie wrażenie jest sugestią, którą tworzy na filmie wielki Barrault. Jego sylwetka księżycowego efeba stwarza pewną manierę, rzekłbym: pozafiołkową. — Ale bądźmy spokojni: ani jeden gest tego wspaniałego filmu nie wymknął się uwadze wielkiego reżysera. Marcel Carné czuwa przez cały film, jest przy podniesieniu kurtyny, asystuje przy pojedynku, biega za kulisami obu teatrów, ustawia księżyc w odpowiednim punkcie miłosnej sceny Garance z Baptystą a w końcu, któż inny, jak nie on wprowadza straszliwego Lacenaire'a do finałowego akordu.

Odbierzmy „romansowi pajaca" Marcela Carné — a pozostanie sam film. Dobry co prawda film, ale nic więcej. Nie pomoże Barrault ani Arletty

Z tym reżyserem film znika. Zostajemy sami w tym miejscu, do którego zaprowadzi nas Carné. Zostajemy w samym środku życia.

...A w prasie piszą o zmierzchu reżyserów filmowych. **Alba.**

BARWNIK
ORION
najlepszy do wszelkich materiałów — żądaj w drogeriach i składach farb. — 93
SKŁADNICA FABRYCZNA:
Katowice, ul. Starowiejska 2
Telefon nr 354-64.

Lektura polecona przez Min. Oświaty
Dr. Mieczysław Tobiasz
Pionierzy odrodzenia narodowego i politycznego na Śląsku
1763—1914
95
Cena 250.— zł.
Skład główny: „EX-LIBRIS" Kraków, Marka 22

OSTATNIA NOWOŚĆ!
MIROSŁAW STAROST
FILOZOFIA PRACY i NARODU
WPROWADZENIE DO ZAGADNIEŃ POLSKIEGO POGLĄDU NA ŚWIAT
Str. 287 Zł 390.—
Oficyna Wydawnicza
KATOWICE, ul. Młyńska 2
94
Do nabycia we wszystkich księgarniach

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Katowice. 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydaw. „Czytelnik"
R 23156